NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 18 maja 1907. Nr. 20.

Straszne skutki alkoholu.

(Treść na stronie 2).



Straszne skutki alkoholu.

(Do illustracyi tytułowej).

en z największych wrogów ludzkości i tem)ieczniejszych, że podchodzi człowieka najczęściej pod postacią pocieszyciela w ciężkiem strapieniu, lub dobrego towarzysza, sprowadzającego humor, wesołość i pozorną energię życiową — alkohol — bezkarnie sprząta od wieków krocie tysięcy ofiar. Próżno przeciw niemu walczą duchowni wszystkich wyznań, próżno starają się położyć tamę alkoholizmowi moraliści, uczeni, towarzystwa wstrzemięźliwości. Alkoholizm w miarę postępów cywilizacyi wzrasta, a narody stojące na najwyższym stopniu kultury, jak np. Francuzi, Anglicy i Niemcy spożywają coraz więcej tej zabójczej trucizny, pod postacią wina, piwa i wódki.



»Achilleion« w rękach pruskich: Ogólny widok pałacu.

Jeżeli zaś szkodliwem jest używanie wszelkich napojów wyskokowych, to najszkodliwszem jest używanie wódki, rujnującej, szczególniej w krajach uboższych ekonomicznie, jak dajmy nato, Galicya, niezliczone ilości egzystencyi i fizycznie i moralnie.

Nie upływa dzień jeden, aby dzienniki nie przyniosły wprost przerażających doniesień o strasznych skutkach, wywołanych nadużyciem gorących trunków.

I świeżo znów zaszedł we Lwowie zgrozą przejmujący fakt, wynikły skutkiem pijaństwa, fakt, który pociągnął za sobą do grobu dwóch młodych ludzi.

Niejaki Ignacy Bratkowski, szeregowiec 11-go pułku artyleryi korpuśnej we Lwowie, znany był w gronie swych kolegów, jako dobry towarzysz, który jednak miał tę wielką wadę, że lubił zbyt często zaglądać do kieliszka. Przytem zaś, nawet mierne podniecenie trunkiem, wywoływało u niego formalne napady szału.

Krytycznego wieczoru, Bratkowski, będąc już cokolwiek podochoconym, wymknął się niepostrzeżenie z koszar Ferdynanda przy ulicy Gródeckiej, po godzinie 9-ej, oczywiście bez pozwolenia przełożonych. W najbliższym szynku napotkał wesołą kompanię, z którą upił się gruntownie. Zrobił tam piekielną awanturę, pobił jakiegoś „cywila“ i dopiero za namową swego krewniaka powrócił do koszar.

Tu jednak zaczął alkohol działać na dobre. Ogarnęła go prawdziwa „rabies alcoholica“. Chwycił za karabin, nabił go ostrymi ładunkami i zaczął na oślep strzelać do swych śpiących kolegów!...

W koszarach powstał popłoch nie do opisania... Oficer dyżurny, dowiedziawszy się otem, co zaszło, kazał trąbić na alarm.

Zewsząd zaczęli się zbiegać żołnierze z bronią w ręku, aby poskromić rozszalałego Bratkowskiego, który tylko dzięki temu, że był kompletnie pijany, dotąd nikogo nie trafił.

W tem wpadł do izby, gdzie ciągle strzelał pijany szaleniec, podoficer służbowy, Wojciech Grab. Ujrzawszy go Bratkowski, zmierzył się, dał strzał i trafił nieszczęśliwego w kolano. Grab, broczące krwią, upadł na ziemię.

Ten widok oprzytomnił widocznie szaleńca. Widząc, co uczynił i nie czekając zanim zostanie ubezwładniony, skierował lufę karabinu do własnej piersi, i celnym strzałem pozbawił się życia.

Plutonowy Grab umarł w kilka godzin później, w szpitalu garnizonowym.

Oto wstrząsający przykład, dokąd prowadzi nadużywanie alkoholu!

„Achilleion“ w rękach pruskich.

Bez względu na stanowisko socyalne napotyka się we wszystkich sferach jednostki, którym ciążą warunki, w jakich się zrodziły, które nie mogą się pogodzić z istniejącymi konwenansami, a których życie upływa w ciągłej rozterce między ich idealnemi dążeniami a twardymi, prozaiczymi wymaganiami codziennego życia. Do takich jednostek na-



»Achilleion« w rękach pruskich: Główna fasada pałacu.



»Achilleion« w rękach pruskich: Perystyl pałacu od strony parku.

leżała śp. cesarzowa Elżbieta, istota ciężko przez los prześladowana aż do chwili śmierci, a tak silnie odrzynająca się od szarego tła, na którem przeszła jej wędrówka doczesna. Podobnie, jak wielu członków rodziny Witteslbachów, z której pochodziła, obdarzoną była tragicznie zmarła cesarzowa wielkiem wrodzonem poczuciem piękna i poezyi, jakie nadawało jej osobistości piętno niezwykłe a skutkiem kolizyi stosunków osobistych owiało ją urokiem romantyzmu, tak rzadko spotykanego w ogóle a tem bardziej na wysokościach tronu.

Wyraz temu prawdziwemu i głębokiemu poczuciu piękna, ogarniającemu zarówno przyrodę, jak poezyę i sztuki plastyczne, dawała cesarzowa Elżbieta przez cały ciąg swego życia. Wynikiem jego było także wzniesienie na wyspie Korfu czarodziejskiej piękności pałacu, zwanego „Achilleion“, gdzie co roku, aż do zamachu w Genewie, przepędzała po kilka miesięcy, szukając na łonie pełnej uroku przyrody, spokoju i zapomnienia smutnej rzeczywistości.

Pałac ów, arcydzieło wskrzeszonej sztuki greckiej, wzniósł na rozkaz cesarzowej, wkrótce po śmierci arcyks. Rudolfa, architekt włoski Rafael Carito na wysepce położonej w zatoce Korfu, naprzeciw miasta stołecznego tej samej nazwy, co i wyspa a wpobliżu wioski Gosturi. Wspaniały park, o przepysznej roślinności, otacza ową budo-

wlę, która ma zwrócony główny front ku zachodowi. Freski, zdobiące wnętrze pałacu, a przedstawiające „Powrót Achillesa po walce z Hektorem“, oraz posąg „Umierającego Achillesa“ dłuta Hertera, nadały nazwę tej jedynej w swoim rodzaju



„Ani z soli, ani z roli...“: Piotr, Eustachy i Stefan Czarnieccy, potomkowie w prostej linii Stefana Czarnieckiego

rezydencyi monarszej. Inną osobliwością „Achilleionu“ jest rzadkiej piękności pomnik Heinego, dzieła Duńczyka Hesselriesa, który swemu ulubionemu poecie kazała cesarzowa ustawić w osobnej świątyńce.

Od tragicznej śmierci właścicielki tego pałacu, stał on pustkami, bo z łatwo zrozumiałych powodów nie odwiedzał go nikt z rodziny Habsburgów. Chodziły pogłoski, że zarząd prywatnych dóbr cesarskich pragnął pozbyć się go za jakąkolwiek cenę. Toczyły się rokowania, aby tam założyć sanatoryum dla piersiowo chorych, zgłaszało się nawet podobno jakieś konsorcyum, które zamierzało założyć tam dom gry — wreszcie księżna Windischgrätz, córka arcyks. Rudolfa, na którą przeszła własność „Achilleionu“, sprzedała go cesarzowi Wilhelmowi. Lubiący pasyami podróżować cesarz, posiadł wreszcie w ten sposób rezydencyę, o jakiej dawno marzył, leżącą daleko poza granicami Niemiec i to za bajecznie niską cenę miliona marek, podczas, gdy warta jest przynajmniej dziesięć razy tyle.

Prasa niemiecka zajmuje się teraz żywo kwestyą, czy cesarz każe obecnie usunąć pomnik Heinego, któremu nie pozwalał dotąd wznieść żadnego pomnika w jego własnej ojczyźnie i czy w ogóle uszanuje pamiątki po byłej właścicielce „Achilleionu“.

„Ani z soli, ani z roli...“

Nie miał za życia szczęścia do nagród i odznaczeń wojewoda kijowski, a przed samą śmiercią dopiero hetman polny koronny, Stefan Czarniecki. Największy ten z wojowników i patryotów polskich XVII. stulecia, mąż, który swym hartem ducha, czystym jak kryształ charakterem i geniuszem wojennym o głowę przerastał współczesnych, jeszcze zyskuje na wielkości w oddaleniu perspektywy dziejowej,

Wyrósłszy z rodu dobrego, ale wcale niezamożnego, szlacheckiego, całą karyerę zawdzięczał nie protekcyi, ale samemu sobie, własnym zasługom, bezgranicznemu poświęceniu dla dobra ojczyzny. Mógł tedy z podniesionem czołem odezwać się do czyniących mu przytyki panków, że do tego, czem został, doszedł „ani z roli, ani z soli, ale z tego co go boli...,“, przy czem wskazał na liczne blizny po ranach, odniesionych na polu sławnych bitew.

Urodzony w 1599 roku, dopiero mając 33 lata dosłużył się stopnia porucznika, chociaż rozpoczął



„Ani z soli, ani z roli...“: Rzeźba z drzewa, wyobrażająca Czarnieckiego na koniu, która figurowała na jego pogrzebie.

służbę wojskową bardzo młodo i odtąd życie swe liczył nie na miesiące, nie na lata, lecz na bitwy, dzień i noc spędzając na koniu, w pochodach i nieustannych bojach — jak się o nim słusznie wyraził jeden z historyków — z Kozaczyzną, Moskwą, Szwedami, Tatarami, Siedmiogrodzianami. Szczególniej jednak swojem zachowaniem się w czasie szwedzkiego napadu na Polskę, zapisał się Stefan Czarniecki na wieki w pamięci Polaków. Nietylko bowiem pogromił wrogów, ale także, można śmiało rzec, uratował honor narodu.

Podobnie jak tylu innych zasłużonych mężów, nie doczekał się dotąd Czarniecki godnego siebie pomnika, boć za taki nie można uważać pomnika wzniesionego mu w 1755 roku z kamienia ciosowego przez Jana Klemensa Branickiego w Tykocinie.



„Ani z soli, ani z roli. .“: Uczniowie szkoły realnej niosą wieniec w uroczystym pochodzie.

Dopiero teraz, gdy w Kongresówce nastały cośkolwiek inne czasy, grono ludzi dobrej woli pomyślało o uczczeniu — choć w skromnych rozmiarach — pamięci tego wielkiego wojownika. Sprawą tą zajął się gorliwie przedewszystkiem ks. Rogalski, proboszcz we wsi Czarncy, powiatu włoszczowskiego, gdzie w miejscowym kościele spoczywają prochy bohatera.

W dniu 5 b. m. odbyło się w tymże kościele uroczyste odsłonięcie pomnika Stefana Czarneckiego, dłuta artysty-rzeźbiarza, Czesława Makowskiego. Pomnik ten, wykonany z czarnego marmuru i bronzu, przedstawia popiersie hetmana w otoczeniu emblematów wojennych: proporca i działa, o które jest oparta jego tarcza herbowa.

W dniu wzmiankowanym zebrał się tłum kilkutysięczny, złożony z inteligencyi i duchownych przybyłych ze wszystkich stron Polski, oraz z okolicznego ludu. Nabożeństwo uroczyste przy licznej asyscie duchownych odprawił O. Rejman, przeor klasztoru Jasnogórskiego. Następnie wspaniały pochód ruszył do dworu, dawnej siedziby Czarnieckich, gdzie wygłoszono wiele mów okolicznościowych, podnoszących zasługi i stanowisko w dziejach niezapomnianego Stefana. Po odśpiewaniu odpowiednich pieśni przez „Lutnię“ częstochowską, pochód sformował się na nowo i podążył do kościoła, gdzie dokonano poświęcenia pomnika, wmurowanego w jednę ze ścian świątyni.

Uczestnicy tej pięknej, patryotycznej uroczystości w podniosłym nastroju opuszczali Czarncę, unosząc ze sobą poczucie dopełnionego, choć bardzo późno, obowiązku wdzięczności względem pamięci wielkiego rodaka.



„Ani z soli, ani z roli. .“: Kościół w Czarncy, gdzie pochowany jest Stefan Czarniecki.



„Ani z soli, ani z roli...“: Grupa księży z O. Rejmanem (X) przeorem z Jasnej Góry.

Jeszcze jeden skandal niemiecki.

Gospodarka niemiecka w koloniach afrykańskich wydaje od szeregu lat tak smutne wyniki, że tylko stosunkom, panującym w państwie bojaźni bożej i dobrych obyczajów“, można przypisać fakt, iż dotąd jej z gruntu nie zmieniono. Żadne z państw, mających pretensyę do miana cywilizowanego, nie zniosłoby takich okrucieństw, oszustw i wszelkiego rodzaju nadużyć, jakich dopuszczają się funkcyonaryusze kolonialni niemieccy na tych częściach „czarnego kontynentu“, nad któremi powiewa czarno-biało-czerwona flaga. Nadużycia szczególnie w koloniach, zdarzają się także i w innych państwach, ale odnośne rządy karzą je surowo i czynią starania, aby się nie powtarzały.



Jeszcze jeden skandal niemiecki: Jesko v. Puttkamer, b. gubernator Kamerunu (X), opuszcza salę sądową po otrzymaniu kary w kwocie 1000 marek.

Inaczej ma się rzecz w Niemczech. Tam przedstawiciele centralnego rządu osłaniają winnych swą powagą wobec opinii publicznej i parlamentu. Dzieje się to oczywiście tylko wtedy, gdy przebierze się miara nadużyć satrapów rządowych, ale ileż to ich przestępstw ukrywa się z powodu oddalenia kolonij od metropolii i z powodu bezradności biednych murzynów, których krwią tuczą się germańscy kulturtregerzy.

I znów ostatnimi czasy wyszły na jaw sprawki junkra czystej krwi, byłego gubernatora Kamerunu, pana Jesko von Puttkamera, siostrzeńca Bismarka. Rządził się on w powierzonej sobie prowincyi niczem basza turecki — wreszcie ucho urwało się u dzbana. Dłużej nie dało się tuszować jego sprawek, stanął tedy w Berlinie przed sądem, oskarżony o nadużycie władzy urzędowej przez wydanie fałszywego paszportu swej metresie i o niedozwolone protegowanie towarzystwa plantacyjnego „Victoria“. Oczywiście oskarżenie ograniczono w myśl znanej sprawiedliwości i bezstronności sędziów pruskich do minimum. Prokurator wnosił dla oskarżonego jako karę wydalenie ze służby. Tymczasem łaskawy trybunał skazał go tylko na 1000 marek grzywny.

W ten sposób pan Puttkamer powróci na dawne stanowisko gubernatora i w przyszłości będzie manipulował niezawodnie ostrożniej, aby nie wejść w zbyt jaskrawy zatarg z prokuratoryą. Uczciwa część nawet opinii niemieckiej oburzona jest wyrokiem sądu berlińskiego, urągającym najprostszym pojęciom sprawiedliwości i etyki administracyjnej.

Jeszcze jedna bomba w Warszawie.

Anarchiści warszawscy nie przestają wymierzać sobie „sprawiedliwości“ na sposób im tylko właściwy. Przez pewien czas wprawdzie nie było słychać o zamachach z pomocą bomb dokonywanych, lecz znowu ostatnimi dniami dali znak życia. Mianowicie, nieznany zbrodniarz podłożył bombę w oficynie kamienicy l. 26 przy ulicy Długiej. Bomba ta, zaopatrzona lontem, eksplodowała o g. 6 wieczorem na schodach, między mieszkaniami dwóch krawców żydów: Lubaczyńskiego i Morszowicza, przybyłych z Rosyi.

Na odgłos wybuchu publiczność, jak zwykle w podobnych razach, zaczęła uciekać w popłochu, kryjąc się po sąsiednich sklepach i bramach kamienic. Oczywiście zjawiła się natychmiast policya wraz z wojskiem i poleciła zamknąć bramy tej kamienicy, przyczem nie wpuszczano ani wypuszczano z niej kogokolwiek.

Na szczęście wybuch spowodował tylko straty materyalne, z ludzi nikt nie poniósł szwanku. Wstrząśnienie jednak powietrza było tak silne, że szyby w oknach powypadały, drzwi zostały powyrywane, klatka zaś schodowa uszkodzoną, jak to widać z załączonego zdjęcia.



Jeszcze jedna bomba w Warszawie: Front oficyny domu l. 26, gdzie na schodach rzucono bombę.

Ścisła rewizya, która trwała aż do północy, nie dała żadnego rezultatu. Że wymienieni krawcy oddawna już byli upatrzeni, jako ofiary anarchistów, można stąd wnioskywać, iż w kieszeni Silbergolda, który kilka tygodni temu rzucił bombę w gmachu Gminy izraelickiej, znaleziono kartkę z ich nazwiskami. Na podstawie tego aresztowano ich wówczas, sądząc, że to jego spólnicy. Tymczasem ostatni zamach dowiódł, że byli oni nie przyjaciółmi, lecz wrogami owego niebezpiecznego anarchisty i jego wspólników.



Jeszcze jedna bomba w Wąrszawie: Schody i ściana, uszkodzone przez wybuch bomby w domu przy ulicy Długiej l. 26.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.



Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

23 Ciąg dalszy

— Jak to pani rozumie?

— Byle się uspokoiło z tymi przeklętymi socyalistami, on ożeni się ze mną.

— Napewno?... mówił to pani?

— Nie jeden raz, nie dziesięć, zawsze mi to powtarza — zaśmiała się — a zwłaszcza teraz po ukazie religijnym.

— To bardzo dobrze... tylko widzi pani, obiecałem siostrze, że na własne oczy zbadam tę sprawę... od tego zależy nasze połączenie.

— Czegóż pan chce? — zawołała niecierpliwie.

— Hm... pragnąłbym, jeśli już nie usłyszeć zapewnienia z jego ust, co byłoby najlepszem... to przynajmniej widzieć go, poznać, posłuchać.

— Ach! o to tylko idzie — zaśmiała się swobodnie — nic łatwiejszego. Przyznam się panu, że nawet dogadza mi to, aby Konstanty poznał z jakiej rodziny pochodzę i przekonał się, jak siostra dba o mnie. Zaproszę pana i jego do siebie. A kiedy panu dogodnie?

— Jestem zawsze na usługi pani.

— Zatelefonuję do niego i powiem panu godzinę — wstała z kanapki i wyszła.

Bal uśmiechnął się zadowolony, a spostrzegłszy swój bilet przyniesiony przez panią, wziął go i schował.

— Zapraszam pana na jutro, na siódmą godzinę wieczorem — mówiła wchodząc do pokoju — Konstanty bardzo zajęty, udało mu się, jak mi telefonował, ująć przeszło dwieście tych łotrów i ma z nimi robotę... A jutro nie może wcześniej, gdyż o trzy na siódmą ma interes na Placu Grzybowskim, ale dał słowo, że punktualnie o siódmej będzie, a on słowa dotrzymuje.

— Tak, tak, teraz ciągłe niepokoje...

Posiedział w salonie kilka minut, rozmawiając o bieżących wypadkach i upewniwszy się raz jeszcze o przybyciu Nikiforowa, wyszedł i udał się wprost na Leszno.

— Jutro o godzinie siódmej — mówił Bal stając na posiedzeniu dzielnicowem — powinien on zginąć. Będzie na miejscu oznaczonem. Zginie od bomby. Wybierzecie towarzysza do rzucenia... sprawa będzie łatwa.

— Ja rzucę! — zawołał student.

— Nie, Władku, nie ty — mówił tonem gorącej prośby Metal — od rzuconej bomby możesz zginąć... a ty silny, ty młody, ty zdrów... Ty możesz służyć naszej partyi długo... Towarzysze — zawołał rozpaczliwie, rozpinając wytartą marynarkę, kamizelkę i koszulę z pod której pokazała się wąska, skórą tylko obciągnięta pierś — patrzcie, ja jestem suchotnikiem, może pożyję pół roku... rok...

— Nie towarzysze — przemówił twardo Władek — ja pierwszy podałem projekt.

Towarzysze z pewnem zakłopotaniem patrzyli to na jednego, to na drugiego, aż Ryba zaczął zwolna:

— Jeśli się tak upieracie, rzućcie dwie bomby, koszt mały a skutek pewny.

— Nie, nie można — sprzeciwił się Ogień — za jednego dwóch ludzi? Nie, to nie idzie.

— Towarzysze — przemówił Bal — towarzysz Władek prócz partyjnej krzywdy ma inne rachunki do załatwienia z Nikiforowem, dlatego wnoszę, aby towarzysz Metal rzucił bombę.

Władek spochmurniał, widać było ile go kosztuje przezwyciężenie, wreszcie mruknął:

— Może i racya — westchnął głęboko.

— Zgoda! Zgoda! — mówili inni.

— Dziękuję wam towarzysze! — zawołał uradowany Metal — a wam osobno — uścisnął rękę Bala.

— Otóż towarzysze, mój plan jest taki — zaczął Bal — jutro o godzinie siódmej wieczorem Nikiforow przyjedzie, a może przyjdzie na ulicę Świętokrzyską, róg Marszałkowskiej, po lewej stronie idąc na Bagno... Tam więc powinien zginąć...

— I zginie — odezwał się poważnie Metal.

— Ulica jest ludna, dużo przechodniów, więc czterech towarzyszy na rogach ulicy przestrzegać będzie publiczność, aby nie szła, wstrzymać ich pod pozorem jakimkolwiek. Trzech towarzyszy będzie w pobliżu Metala i gdyby mimo bomby on się uratował, strzelać będą do skutku. Kto ma i jakie stanowisko zająć, to wasza rzecz towarzysze... Bomba musi być lekka i pewna, znajdę taką dla was, zwrócił się do Metala — później powiem wam adres i godzinę odbioru. A radzę wam dokładnie zbadać teren. Naturalnie dorożki mają być w pogotowiu na wszystkich rogach ulicy. Czy zgadzacie się?

— Przyjmujemy — mruknęli.

— Towarzysze, czy załatwiliście sprawy?

— Jeszcze jedna — odezwał się Ogień — i proszę o posłuch. Hadziar, znany wam szpicel, dzisiaj przy rewizyi i aresztowaniu na Chłodnej wskazywał komisarzowi główniejszych manifestantów i szukał gorliwie agitatora... Wotuję więc na śmierć!

— On nie dostał wyroku, tylko ostrzeżenie — rzekł Kwiatek — mojem zdaniem formy należy zachować, a może się poprawi i rzuci to podłe zajęcie.

— Poprawi?! Porzuci?! — śmiał się Kos — on zasmakował w tym chlebie, znam go.

— Śmierć może nastąpić tylko po wyroku formalnym — przemówił Władek — kto jest za wyrokiem?

— Wszyscy.

— Dobrze, otrzyma go jutro.

— Ale ja byłem pierwszy — zawołał Ogień — i zabijając go będę się mścił tylko za towarzyszy. Pamiętajcie!

— Wiemy... wiemy.

Władek napisał wyrok, umaczał w czerwonej farbie pieczątkę, przybił do papieru i włożywszy w kopertę zaadresowaną, rzekł:

— Dziś na pocztę, jutro otrzyma. Posiedzenie skończone.

Bal wyszedł z Metalem i w drodze umawiał się z nim. Podał adres Logiki, mówiąc:

— Tam mieszka moja bliska krewna i dla wszelkiego bezpieczeństwa przyniosę do niej bombę. O w pół do siódmej przyjdziecie i pojedziemy razem.

— Czy nie będzie zbyt późno?

— Przypuszczam, że nie... a długie trzymanie bomby zdenerwuje was, a tu trzeba rozwagi i spokoju.

— Już ja będę spokojny.

— Teraz pójdziemy na Świętokrzyską. Pokażę wam prawdopodobną drogę jego przyjścia.

Bal poprowadził Metala na plac Grzybowski i skręcając na Bagno, dodał:

— Przed godziną siódmą będzie na Placu... przypuszczalnie dorożki nie weźmie ze względu na konwój, ale pójdzie pieszo najbliższą drogą przez Bagno i skręci w ulicę Świętokrzyską.. Uważajcie, tu trotoar wąski, a ich będzie co najmniej pięciu, muszą zejść na ulicę, bo i tak do tego domu — wskazał narożną kamienicę od Marszałkowskiej — przez ulicę przejść muszą.

— Tak, wy rozumny człowiek, przyjemnie was słuchać — uśmiechnął się Metal.

— Wy będziecie iść od Marszałkowskiej po lewej stronie. Towarzysza od ul. Bagno ostrzegę, aby wam dał znak, gdy on się będzie zbliżał i starajcie się być w pobliżu tej latarni, ona dzieli niemal na równe części ten kawałek ulicy i czy on przyjdzie z tej strony czy z innej, zawsze będziecie go mieli na oku.

— Rozumiem, to dobry plan — rzekł z uznaniem Metal.

— Po rzuceniu bomby idźcie szybko w stronę przeciwną od rzutu, towarzysze będą na was czekali, wsiądziecie do dorożki i jazda.

— Nie towarzyszu, już nie pojadę z towarzyszami, czuję, że zginę.

— Tylko bez przeczuć — zaśmiał się Bal z przymusem — jeszcze mamy dużo do roboty i będziecie potrzebni.

— Chętnych zawsze znajdziecie... Jestem zmęczony, na dziś mam dosyć.

— Jeszcze jedno — przemówił Bal miękkim głosem — weźcie odemnie pieniędzy, na jutro potrzeba wam sił... I jakie macie ubranie? — dodał widząc jego wzdraganie się.

— Pieniędzy nie potrzebuję, nie mam z czego oddać — uśmiechnął się — a ubranie mam tylko to jedno.

Bal spojrzał na wytarty, znoszony paltot letni i pokręcił głową:

— Tak nie sposób; dostrzegą bombę, pochwycą was... kieszenie za płytkie... musicie kupić sobie z pieniędzy partyjnych pelerynę, niedługą, łatwo otwierającą się.

— Na co mi peleryna? Zrobię głębszą kieszeń w paltocie i dobrze będzie.

— Tak? I chcecie, aby się wam bomba zaplątała, nic z tego, pelerynę musicie mieć, bo on ujdzie żywym.

— W takim razie kupię; dawajcie partyjne pieniądze... innych nie przyjmę.

— Macie dwadzieścia pięć rubli, nie żałujcie. Siadajcie do dorożki a jutro o szóstej pod wiadomym adresem.

— Dlaczego o szóstej? — zdziwił się.

— Jesteście osłabieni, musicie odpocząć! Dobranoc i do widzenia o szóstej.

Nazajutrz cała Warszawa roiła się od wojska. Gęste patrole przeciągały ulicami, a zwłaszcza dzielnice robotnicze były pilnie strzeżone. Władze rządowe wiedziały, że dziś ma wybuchnąć strejk i manifestacye partyi polskiej socyalistycznej. Postanowiono stłumić ten bunt.

Tymczasem fabryki pracowały dzisiaj jak zwykle, sklepy były pootwierane, ruch uliczny był normalny i nic nie zapowiadało oczekiwanych manifestacyi.

Oberpolicmajster pierwszy dowiedział się, że strejk odwołała partya a chcąc wyzyskać tę chwilę na swoją korzyść, zatelefonował do prywatnego mieszkania Czerniejewa o godz. 10-tej rano, czy może złożyć mu osobiście raport o usposobieniu miasta, na co otrzymał pozwolenie.

Siadł do niskiego małego powoziku, zwanego perelotką, zaprzężonego w trzy konie z uprzężą ruską i w asystencyi dwóch kozaków, galopujących tuż przy powozie, sam w mundurze galowym pojechał do Czerniejewa.

Widok chmurnego i poważnego generała onieśmielił go cokolwiek, stanął w postawie żołnierskiej i czekał zapytania.

— Co słychać w mieście? — zapytał generał i spojrzał na niego przenikliwemi, zimnemi oczyma.

— Zupełny spokój, ekscelencyo, wojsko może być ściągnięte, a patrole normalne.

— Jesteś pan pewny miasta?

— Najzupełniej. W dniu wczorajszym partya przewrotowa przekonała się, że posiadamy dość siły, aby zgnieść wszelkie pokuszenie wywołania zamętu i nieporządków. Policya spełniła swoje zadanie bez zarzutu, a odszczególnił się gorliwością i zrozumieniem stanu rzeczy, sztabskapitan Nikiforow, komisarz cyrkułu Wolskiego, dla którego mam zaszczyt prosić o pochwałę i odznaczenie.

Generał podniósł oczy na mówiącego i zapytał:

— Cóż on zrobił?

— Stosownie do moich wskazówek, aby użyto środków odpowiednich do nastroju tłumu, pozwolił on manifestantom zebrać się, następnie, gdy wezwanie do rozejścia się nie skutkowało, otoczył zbuntowanych i aresztował winnych zaburzenia publicznego. Użył środków surowych w myśl rozporządzenia ekscelencyi, a to gorliwy i nieustraszony człowiek.

— Surowość i sprawiedliwość zalecam zawsze, ale nie srogość. A co się stało z uwięzionymi?

— Rozporządziłem, aby mniej winnych puszczono, bardziej winnych potrzymać kilka dni, a hersztów uwięzić.

— To dobrze... nie zwlekać z uwolnieniem aresztowanych manifestantów.

— Stanie się według rozkazu — skłonił się głęboko.

— A czy w dzielnicach żydowskich był bunt wielki?

— Manifestowali tylko nieletni, ale dla policyi ekscelencyo, to są najniebezpieczniejsze posterunki. Największa ilość moich żołnierzy została tam skrytobójczo zamordowana. Pochwycenie sprawców, z powodu żydowskiej solidarności jest bardzo trudne...

Audyencya skończyła się. Oberpolicmajster, przyjechawszy do biura, wezwał do siebie wszystkich komisarzy cyrkułowych i w ich obecności wyróżnił i pochwalił Nikiforowa za jego służbistość i gorliwość, tak w imieniu Czerniejewa jakoteż i w swojem i obiecał nagrodę i odznaczenie.

Gdy po audyencyi schodził ze schodów, odezwał się jeden z komisarzy do Nikiforowa rozpromienionego:

— Słuchaj Konstanty Iwanowiczu, władza pochwaliła twoją surowość a swoją drogą bądź ostrożny, to ci radzę ze szczerej przyjaźni.

— Nie znasz tutejszego narodu — zaśmiał się — strachem ich trzymam i ani drgną. Gdy wyjdę na ulicę i tylko spojrzę, wszystko blednie i ucieka przedemną.

— Do czasu... a ilu z policyi zabili?

— Niższe czyny, gdzieś w zaułkach, ale nie nas. Już trzy wyroki śmierci dostałem i kpię z nich, strzelali i ze strachu chybili — śmiał się — zresztą nie pora mi umierać, gdy awans na mnie czeka.

— Ano, każdy ma swój rozum.

Pożegnawszy się, wsiadł do dorożki i drogą dalszą, okólną, kazał się zawieźć do swego biura.

W czasie jazdy poczuł jednak niepokój wewnętrzny i obawę przed zamachem. Zachmurzył się, ale po chwili rozpogodził twarz. Swoją drogą zanim się pokaże na którejkolwiek ulicy, wyszle przedtem tajnych ajentów, aby zbadali bezpieczeństwo. Ucieszy się jego kochanka, która tylokrotnie prosiła go, aby kazał się pilnować ajentom... zresztą czyż ośmieli się ktokolwiek dokonać zamachu na niego?

O godzinie szóstej, jak było umówione, zjawił się Metal ubrany w pelerynę i w nowej czapce. Powitał go Bal w przedpokoju i wprowadził do saloniku, w którym siedziały Logika i Wanda. Po zaznajomieniu się, zaproponowano przybyłemu, aby wspólnie z nimi wypił filiżankę herbaty i zaczęła się rozmowa, w ciągu której zapytał Bal:

— A wy czem zajmujecie się, towarzyszu?

— Jestem zecerem w drukarni, bo przynajmniej w ten sposób mam do czynienia z książkami, a one mnie zawsze pociągały ku sobie.

— Byliście może w gimnazyum?— spytała Wanda.

— Ja? — uśmiechnął się z ironią. — Gimnazyum jest dla Rosyan i bogatych, a ja byłem i jestem żydem. Trochę uczyli mnie ludzie, a resztę sam zdobyłem.

— Dawno należycie do partyi?

— Trzy lata minęło, a dawniej należałem do bundu.

— Znacie Jonasza? — spytał Bal — i co o nim sądzicie?

— Czy o człowieku, czy o bundziście?

— O partyi.

— Jonasz, to prawdziwy bundzista, on taki bundzista, że poza bundem świata nie widzi — uśmiechnął się drwiąco.

— Czy można was spytać, dlaczego porzuciliście bund? — odezwała się Logika.

— A mnie dziwi, jak wy możecie o to pytać, towarzyszko; chyba nie znacie bundu i świeżo jesteście w partyi.

— Znam bund i wiem, że walczy o wolność, na równi z nami.

— Teraz was rozumiem — i na bladej twarzy pojawił się lekki rumieniec — wy dziwicie się, że ja żyd, nie należę do żydowskiego bundu... Czy tak?

— Nie towarzyszu — pospieszyła Logika — ja nie rozróżniam narodowości w naszej walce proletaryackiej, byłam tylko ciekawa przyczyn waszego wystąpienia z bundu, ale jeśli was to drażni, nie mówcie o tem.

— Dlaczego nie mam powiedzieć? Ja się z tem nie kryję ani przed naszymi, ani przed bundzistami. Wy znacie nasze hasło: „Proletaryusze wszystkich krajów łączcie się!" aby znieść wszelki ucisk. Cóż znaczy łączenie? To znaczy, że każdy proletaryusz jest moim bratem, że nas łączy miłość i wspólna walka ze wspólnym wrogiem, a mamy tych wrogów dużo, bardzo dużo.

Odetchnął i pił zwolna herbatę.

— Nie rozumiem was — mruknęła Logika.

— Zaczekajcie, niech skończę — uśmiechnął się rad, że uważnie go słuchają — i z tą myślą wspólnej miłości i wspólnej walki wstąpiłem do bundu. Już w pół roku dolegała mi ich wyłączność, ale myślałem, że się mylę, że źle widzę i pracowałem jeszcze rok w bundzie i jeszcze rok. I nareszcie poznałem ich... Bund towarzyszko, zna tylko jednych proletaryuszów i to żydowskich; ma jedną miarę... i to żydowską do wszystkich spraw rewolucyjnych i narodowościowych; zna jedną miłość... i to żydów do żydów. On złączył się w imię nienawiści do wszystkiego, co nie jest żydowskie, i idzie drogą nienawiści i wyłączności. Niema ludu nietylko w Rosyi, ale na całej ziemi, któryby bund kochał i uważał za równy sobie, on jeden i jedyny jest wybranym ludem. Gdyby dziś rząd ogłosił równouprawnienie żydów, oni dusiliby proletaryuszów, pomagaliby rządowi zakuć nas w gorsze i cięższe kajdany, bo osiągnęliby swój cel i byliby zadowoleni i syci... Czy mogłem ja do nich należeć? Ja jestem socyalistą szczerym, ja żądam wolności i chleba dla wszystkich, a że urodziłem się w Polsce, tu żyję, tu zarabiam na chleb, to nie szukałem obcych bogów, ale zapisałem się do polskiej partyi socyalistycznej. A teraz rozumiecie mnie towarzyszko? — zaśmiał się cicho.

— Jeśli macie takie przekonanie o bundzie, nie dziwię się waszemu wystąpieniu — odpowiedziała Logika.

— Zdaje mi się, że słuszne — wtrąciła Wanda — wszak pamiętasz, z jaką wyraźną niechęcią, prawie nienawiścią do nas, mówił o nas Jonasz.

Nie samych Polaków on nienawidzi — uśmiechnął się Metal — tak samo i Rosyan i Litwinów i innych.

— To następstwo ich wiekowych prześladowań,



Przeszedł na prawą stronę ulicy i począł targować ubranie.

ich separatyzmu religijno-narodowego, naszego antysemityzmu — broniła Logika swych sprzymierzeńców.

— Nie idzie o filozofię dziejów, idzie o nagi fakt — zaśmiał się Bal — i dziękuję wam towarzyszu za wyjaśnienie.

— Niema za co... ale która godzina? — zawołał niespokojny.

— Trzydzieści pięć na siódmą — rzekł Bal z zegarkiem w ręku — za pięć minut dojedziemy...

— I wy pojedziecie tam ze mną?

— Naturalnie.

— A gdzie to...? — patrzał Balowi w oczy.

— Na stoliku pod oknem — zwrócił się w tę stronę.

— Mogę zobaczyć? — spytał wstając Metal.

— Sam wam pokażę — a widząc Wandę, zbliżającą się, szybko zawołał: — Wandziu nie ruszaj!

Wziął w rękę pudełko podłużne, okrągławe, pokryte cienką blachą, długości czternastu centymetrów, objętości dwudziestu trzech centymetrów i trzymając na dłoni, rzekł:

— To pewna pigułka.

— Dajcie mi do ręki.

— Tylko ostrożnie.

— Dosyć ciężka, tylko czy nie za mała, może nie wystarczy.

— Za skutek ręczę — odebrał mu z ręki — a uważajcie, bo nawet przy silniejszem potrąceniu możliwy wypadek.

— Władziu, czy to bomba? — spytała Wanda zaciekawiona.

— Nie, to rodzaj granatu ręcznego.

— Towarzyszu już czas — wstał Metal z krzesła — spieszno mi.

— To źle — uśmiechnął się Bal — musicie mieć dużo zimnej krwi. Wypijcie kieliszek koniaku, orzeźwi was.

— Dajcie... a która godzina?

— Za piętnaście siódma, pijcie — podał mu mały kieliszek.

— Teraz w drogę — i zwracając się do Logiki i Wandy, dodał — proszę was, nie wychodźcie do mego powrotu.

— Władku, a kiedy wrócisz?

— Za pół godziny... bywajcie zdrowe.

Gdy drzwi się zamknęły, spytała Wanda tonem rozdrażnionym:

— Logiko, czy on zginie?

— Kto?... Bal?

— Nie, Metal!

— Nie wiem, a w przepowiednie się nie bawię — i poszła do okna nietylko, aby ukryć swój niepokój, lecz i dla zobaczenia jeszcze towarzyszów.

I widziała jak Bal usadowił towarzysza i sam wsiadł do dorożki i pojechali przez Chmielną na Marszałkowską.

— Jak się czujecie? — spytał Bal.

— Koniak dobrze mi zrobił, szkoda, że nie wypiłem więcej — uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Czy wy pijacie?

— Nie, a przynajmniej bardzo rzadko, na takie zbytki nie mogę sobie pozwolić.

— Przecież dobrze zarabiacie.

— Mam matkę starą i siostrę wdowę, mają sklepik na Nowolipkach. tym pomagam.

Bal dowiedział się szczegółowego adresu, a widząc go zmienionego, spytał:

— Co wam towarzyszu?

— Weźcie bombę, muszę się wykaszleć... a to trwa długo.

Tymczasem kaszel trwał krótko, a Bal rzekł z uśmiechem:

— To skutki alkoholu.

— Szkoda, że wcześniej nie wiedziałem, dziś za późno.

Bal wstrzymał dorożkarza w pobliżu Swiętokrzyskiej, wysiedli i wkrótce spotkali towarzysza Kwiatka, który ich przywitał skinieniem głowy i uśmiechem.

Bal z Metalem weszli na lewą stronę Swiętokrzyskiej, a gdy byli w połowie ulicy, powiedział Bal:

— Teraz spokoju towarzyszu, idę zbadać straż i dorożki.

Najpierw poszedł do towarzyszy od strony Bagna i zbliżywszy się, szepnął nieznacznie:

— Wyjdzie od placu Grzybowskiego, baczność, dajcie znać Metalowi słowem: już.

Obejrzał dorożki, przywitał się milcząco z towarzyszami i poszedł do Metala, rozmawiającego z właścicielem składu ubrań. Metal zbliżył się do niego, a Bal szepnął nieznacznie:

— Podejdzie do was Ogień i powie: już; to znak, że idzie... spokoju!

— Jestem zupełnie spokojny... zostawcie mnie samego.

Bal podszedł kilka kroków dalej ku Marszałkowskiej, odwrócił się i patrzał na Metala, który przeszedł na prawą stronę ulicy i począł targować ubranie. Widział go spokojnym, uśmiechniętym, tylko na twarzy były czerwone wypieki, a po przez pelerynę widać było staranne chronienie prawej ręki. w której trzymał bombę.

Po chwili Metal przeszedł na lewą stronę i zaledwie stanął przy latarni, gdy dojrzał Ognia, idącego ku sobie i posłyszał szeptem ciche słowo „już".

Istotnie przez Bagno szedł trotuarem komisarz Nikiforow w otoczeniu swej straży.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Bielany.

Wiadomo powszechnie, że Kraków należy do rzędu miast posiadających ładne i malownicze, w całem znaczeniu tego słowa, okolice. Niestety jednak nie uczyniono prawie nic dotąd, aby ułatwić komunikacyę z ich najwięcej interesującymi punktami. Skutkiem tego wielu obcych, rozporządzając krótkim czasem przy zwiedzaniu Krakowa, rzadko bardzo może naocznie przekonać się o piękności tych okolic. Nawet stali mieszkańcy podwawelskiego grodu, zresztą znani ze swej niechęci do wycieczek, sięgających po za Park krakowski, lub Park dra Jordana, cierpią również na tem, bo dostanie się na kopiec Kościuszki, na Panieńskie Skały, na Bielany idt. dostępne jest tylko dla ludzi zamożniejszych, o ile kto nie jest właścicielem pary zdrowych nóg, albo też ma odwagę wytrząść się chłopskim wozem, których sporo w pogodne dni świąteczne oczekuje przy rogatkach na amatorów dalszych wycieczek.

W Zielone Świątki jednak, skoro tylko pogoda dopisze, tłumy ludności krakowskiej śpieszą na Bielany, nie bacząc na trudności komunikacyi z tym uroczym przez swe położenie, a godnym widzenia z powodu kościoła i klasztoru eremem kamedulskim.

Podążamy za nimi.

Już sama droga, począwszy od klasztoru zwierzynieckiego, jest bardzo interesująca. Wije się ona wzdłuż Wisły w kierunku zachodnim od Krakowa, mając po prawej stronie szereg wzgórzy, na których wznosi się bliżej miastu mogiła wodza z pod Racławic. Skoro się minie ukrytą w kotlinie wioskę Przegorzały, gdzie skały dochodzą prawie do samego gościńca, uderza nas wspaniały widok góry bielańskiej — zwanej przez zakonników „Mons argenteus“ (srebrna góra) — pokrytej przepysznym lasem szpilkowym, na którego ciemnem tle jasno odbijają miejscami drzewa liściaste. Wierzchołek góry uwieńczony jest imponującą budowlą kościoła, ponad którego białe mury trzy wieże w niebo się unoszą. — Skręcamy na prawo. — Droga stromo pnie się w górę. Wkrótce spostrzegamy potężny mur z dużych głazów, okalający ogrody i cały kompleks budynków klasztornych. Przy końcu drogi stoi zgrabna kolumna marmurowa z płaskorzeźbami na



Bielany pod Krakowem: 1 Przeor klasztoru, O. Bogumił Halik. 2 O. Wilibald Hul, prokurator. 3. O. Maurycy Rozolek magister nowicyuszów.



Bielany pod Krakowem: Nowicyusze, przy pracy w ogrodzie.

ścianach kapliczki, umieszczonej na szczycie. Za tą kolumną zaczyna się szeroka ścieżka, z dwóch stron okolona wysokimi murami, która prowadzi aż do furty klasztornej, znajdującej się przy bramie wjazdowej. Na pierwszem zdjęciu widać tę furtę od wewnątrz, wraz z braciszkiem odźwiernym.



Bielany pod Krakowem: Prokurator klasztoru O. Wiliba'd Hull.

czoną po obu bokach przez ośm kaplic a zakończoną chórem zakonnym po za wielkim ołtarzem.

O ile wnętrze nawy jest prawie zupełnie ozdób pozbawione, a imponuje tylko swymi harmonijnymi rozmiarami, o tyle znów kaplice dekorowane są z przepychem, a nawet miejscami przeładowane ornamentyką. Mieszczą one dużo ciekawych malowideł, a w jednej z nich, noszącej tytuł św. Benedykta, mieści się cykl obrazów, odnoszących się do życia świętych: Bonifacego, Romualda i Władysława, pędzla znakomitego malarza

gdzie chowane są zwłoki zmarłych członków eremu, w nyszach jedne obok drugiej umieszczonych.

Obok kościoła z jednej strony prowadzi brama do zabudowań, gdzie mieszczą się: refektarz klasztorny i nowicyat, z drugiej zaś — do właściwego klasztoru, gdzie mieszkają zakonnicy.

Dziwne uczucie objąć musi każdego, skoro przekroczy poza tę bramę.... Absolutny spokój, grobowe milczenie i jakaś nieuchwytna poezya askezy panują tu niepodzielnie....

Zakon Kamedułów, odrośl zakonu Benedyktynów, założył św. Romuald w XI. wieku we Włoszech. Głównem zadaniem ich, jest nieustanna modlitwa i rozmyślanie; resztę czasu poświęcają pielęgnowaniu ogródków, które przytykają do ich domków. W Polsce liczyli oni niegdyś sześć klasztorów (także na Bielanach pod Warszawą), dziś pozostał jedyny erem, czyli pustelnia, na krakowskich Bielanach. Mieszkają każdy osobno w domkach. Obok podajemy widok zewnętrzny jednego z takich domków. Tylko kilka razy do roku jadają we wspólnym refektarzu. Mięsa nie używają nigdy, wstają o północy na modlitwę i udają się do chóru, w którym dziennie spędzają przeszło dziesięć godzin. Ze światem zewnętrznym, z wyjątkiem przeora i prowizora (prokuratora) nie utrzymują zupełnie stosunków. Braciszkowie zakonni zajmują się gospodarstwem. Kobiety mają tylko kilka razy do roku wstęp do kościoła bielańskiego dozwolony; przekraczające zakaz wchodzenia do kościoła, bez osobnego pozwolenia, czeka ekskomunika.



Bielany pod Krakowem: Widok alei, przy której stoją domki zamieszkane przez zakonników.

Za furtą rozciąga się niewielki placyk, z którego wprost ma się widok na niepospolicie piękną, późnorenesansową, kamienną fasadę świątyni, na prawo zaś prześliczną, hen w dal sięgającą perspektywę aż po Karpaty, z Wisłą, co jak srebrzysta wstęga przewija się po dolinie. Góra Bielańska, mająca 326 metrów wysokości po nad poziom morza, wznosi się ponad zwierciadło wód Wisły na 120 metrów przeszło.

Kościół wraz z klasztorem fundowany w 1604 roku przez Mikołaja z Podhajec Wolskiego, marszałka wielkiego koronnego, ma jedną nawę, oto-

z pierwszej połowy XVII. w., Tomasza Dolabelli. Nad głównem wejściem do kościoła, w którym niema, w myśl reguły Kamedułów, ani chóru, ani organów, wisi portret fundatora eremu, malowany z natury przez jednego z zakonników.

Z obu stron wielkiego ołtarza, w przedłużeniu niejako szeregu kaplic, znajduje się kapitularz i zakrystya, pod nim zaś oratoryum, gdzie zakonnicy podczas miesięcy zimowych schodzą się na modlitwy wspólne.

Tuż do tego oratoryum przytykają katakumby,

Aleja, po której obu stronach stoją domki zakonników wychodzi na ogród, a raczej park klasztorny i kończy się altanką, skąd, wedle tradycyi, patrzeć miał na płonący Kraków nieszczęsny Jan Kazimierz, uchodzący z kraju przed nawałą szwedzką.

Równolegle do tej alei ciągnie się obok inna, przy której stoi gmach przeznaczony dla nowicyuszów. Jedno z naszych zdjęć przedstawia ich właśnie, gdy zajęci są pracą w ogrodzie.

Obecnym przeorem bielańskiego eremu, liczącego około czterdziestu członków, jest ojciec Bogumił Halik, udzielający z całą uprzejmością gościom wszelkich wyjaśnień tyczących się kościoła, klasztoru, życia zakonników itp. Obecnie zakonnikami i braciszkami w eremie bielańskim są sami Polacy, podczas gdy lat temu kilkanaście przeważali wśród



Bielany pod Krakowem: 1. Przeor O. Bogumił Halik. 2. Dr. Komorowski, lekarz klasztorny. 3. Brat Marcin, szafarz klasztorny.

nich Włosi, sprowadzeni tu podczas reformy dokonanej jeszcze za czasów Piusa IX.

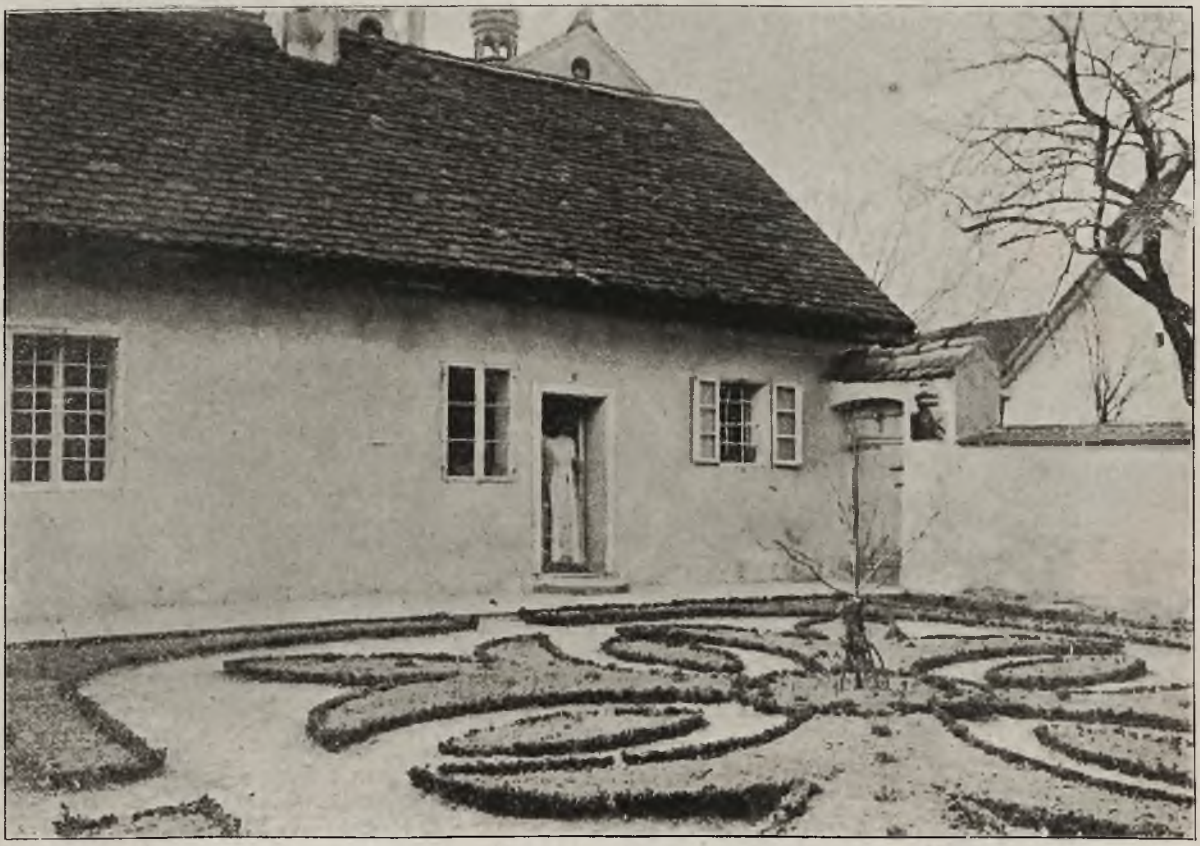
Żywioł polski do tego stopnia przeważa dziś w zakonie Kamedułów, że jego generałem jest Polak O. Antoni Biciutko, były oficer wojsk rosyjskich, generalnym zaś wizytatorem O. Piotr Zawadzki, knzyn ks. arcybiskupa Felińskiego.



Bielany pod Warszawą: O. Floryan Marczewski, ostatni Kameduła.

Dziwny kontrast przedstawiają Bielany w Zielone Święta, gdy panuje pogoda. Dołem, u stóp góry bawi się tłum mieszczuchów, spragnionych świeżego powietrza i widoku zieleni. Karuzele, huśtawki znajdują licznych zwolenników, odgłosy katarynek i ręcznych harmonij mieszają się ze śpiewami i salwami śmiechu.

Na górze tymczasem poza murami klasztoru, cisza i spokój niczem niezamącone, jak było wczoraj, tak będzie jutro. Tu tłum ludzi, korzystając z chwili, w lot chwyta sposobność użycia i zapomnienia przez niewybredne uciechy — tam garstka tych, co zerwawszy dobrowolnie ze światem i jakby żywcem zakopawszy się w grobie, czeka jak rychło zamieni domki pustelnicze na nysze w podziemiach klasztoru z prostym napisem: „Requiescat in pace“.



Bielany pod Krakowem Widok zewnętrzny jednego z domków, zamieszkałych przez zakonników.

Druga stolica polska, Warszawa, posiada także w swem pobliżu kościół z klasztorem Kamedułów, fundowany pierwotnie w 1634 r. przez Władysława IV-go na wzgórzu również zwanem Bielany, jak pod Krakowem, a dokończony następnie przez Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana Kazimierza Brzezińskiego, podkomorzego ruskiego.

Kościół tego eremu, jak widać z podobizny załączonej, bardzo jest ładny, w swych zaś ołtarzach posiada cenne obrazy, malowane przez Franciszka Smuglewicza.

O wschodnią ścianę kościoła oparty jest skromny pomnik znakomitego męża stanu, pisarza i społecznego działacza, Stanisława Staszica, który postawiło swym kosztem warszawskie Towarzystwo wioślarskie.

Erem Bielański pod Warszawą podzielił po r. 1864 losy wszystkich klasztorów w Królestwie Polskiem — członków jego skazano na wymarcie...

Być może, iż teraz, gdy zaświtała dla Królestwa era jakiej takiej swobody religijnej, znów ta pustelnia da w swych trzynastu domkach schronienie nowym zakonnikom, którzy zamkną powieki jedynemu z dawnych Kamedułów, jaki pozostał przy życiu, ojcu Floryanowi Marczewskiemu. Zanim to jednak nastąpi, on sam jeden jest żywą pamiątką dawnych, lepszych czasów bielańskiego eremu.

Warszawskie Bielany, podobnie jak krakowskie, są ulubionem miejscem wycieczek szczególniej podczas Zielonych Świątek.

* * *

Wszystkie zdjęcia z Bielan krakowskich, dołączone do powyższego artykułu, wykonał nasz redakcyjny fotograf, pan W. Lis, redakcyjnym aparatem.

Duma i armia.

Drugi z kolei parlament rosyjski „jeszcze“ nie został rozwiązany. Jak na stosunki, panujące nad Newą, jest to wiele, bo przecież od dłuższego czasu krążą ciągle w prasie głuche a groźne pogłoski o tem, że dni jego są policzone.



Bielany pod Krakowem: Altanka w ogrodzie klasztornym, z której miał patrzeć Jan Kazimierz na palący się Kraków w 1655 roku.



Duma i armia: Socyalistyczny poseł, Ormianin, Zurabow.



Bielany pod Krakowem: O. Jan Schuster u siebie w celi.

I rzeczywiście kilka dni temu była chwila, że można się było spodziewać pojawienia p. Stołypina w Dumie z ukazem cesarskim w bocznej kieszeni fraka, rozwiązującym ją a przynajmniej odraczającym jej posiedzenia.

Chodziło wtedy o uchwalenie kontyngentu rekruta na rok bieżący. Dla tych, co znają stosunek liczebny rozmaitych stronnictw Dumy, nie ulegało wątpliwości, że odnośne przedłożenie rządowe zostanie przyjęte, do czego rzeczywiście przyszło. „Za" głosowało 193 posłów (wtem polacy i „kadeci") — przeciw — 123 posłów. Za nim jednak o trzymano ten rezultat, przyszło w Dumie do scen tak burzliwych, jak nigdy przedtem. Wywołał je poseł Zurabow (socyalista Ormianin), wymyślając na armię rosyjską w sposób wcale nieparlamentarny. Sekundował mu namiętnie poseł Ceretelli (socyalista Gruzin). Wywołało to gwałtowne protesty ze strony prawicy i ławy ministeryalnej. Prezydent Gołowin musiał posiedzenie kilka razy przerywać, aby namiętności mogły się uspokoić. Wreszcie obaj krewcy posłowie otrzymali w formie przywołania do porządku i odebrania głosu naganę od prezydenta, który ze swej strony dał satysfakcyę armii rosyjskiej, przedstawiwszy ministrowi wojny protokół obrad odnośnego posiedzenia i wyraziwszy ubolewanie z powodu słów, jakie podczas niego padły.

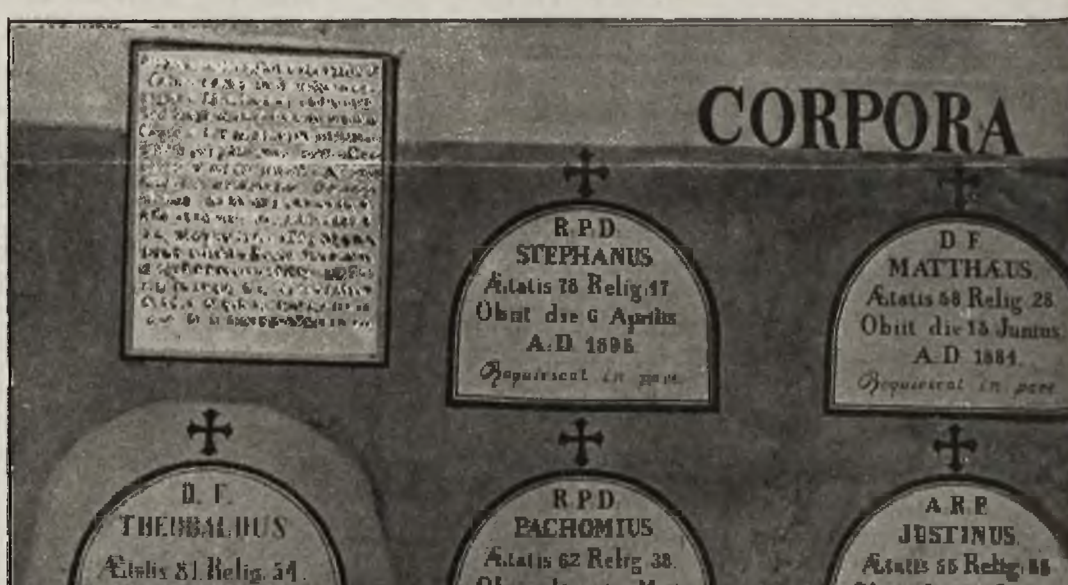
Na tem skończył się ów groźny epizod, który ze względu na to, że sam cesarz miał być wielce oburzony wystąpieniem posłów Zurabowa i Ceretellego, mógł sprowadzić katastrofę pod postacią zgotowania drugiej Dumie tego samego losu, którego nie uniknęła pierwsza.

* *

Na jak długo jednak udało się żywiołom umiarkowanym odsunąć od Dumy skon nagły — pokaże najbliższa przyszłość, kryjąca w swem zanadrzu mnóstwo rzeczy, które nie dadzą się przewidzieć.



Bielany pod Krakowem: Furta klasztorna, widziana od wewnątrz, z braciszkiem odźwiernym.



Bielany pod Krakowem Katakumby pod kościołem z grobami zakonników.

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a,** byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

7 (Ciąg dalszy).

Zkąd to nagłe przejście od zuchwalstwa do pokornego ulęknięcia się? W jednej chwili Jaminot przypomniał sobie wszystko.

Jakże mógł zapomnieć, że to nazwisko Fantillon było już mu znane. Pan Fantillon był uniwersalnym przedsiębiorcą. Nietylko ubrania i kamizelki dostarczał swoim klientom.

Lat parę temu został wmieszany w nieczystą sprawę oszustwa pożyczki, danej jakiemuś cudzoziemcowi. Jaminot zadowolony był, że sobie przypomniał tę sprawę. Trzymał atuta w ręce. Zacny krawiec będzie musiał wyśpiewać wszystko, co wie. Jaminot poważny, zimny i pewny siebie, przystąpił do badania.

— Nie przychodzę na razie w sprawie, o której pan myślisz — zaznaczył. — Potrzebuję tylko od pana prędkiego objaśnienia. Przedewszystkiem odeślij pan chłopca sklepowego do pracowni. Mam z panem pomówić w cztery oczy.

Chłopak został natychmiast odprawiony. Wyszedł spiesznie jeszcze bardziej wystraszony, potykając się o meble i kłaniając się do ziemi przed człowiekiem, dla którego nawet pryncypał tak z tonu spuścił i otaczał względami.

Jak tylko się za nim drzwi zamknęły, ajent wyjął z kieszeni kawałek spalonego płótna.

— To od pana pochodzi, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Dobrze. Zna pan nazwiska wszystkich pańskich klientów?

— Spodziewam się.

— Musi pan jednak mieć takich przygodnych, przyjezdnych, którzy nie stale ubierają się u pana?

— To się zdarza bardzo rzadko, ale i wtedy nazwiska ich są mi znajome. Muszę ich przecież w książki wpisać.

— Ma pan słuszność. A więc musi pan znać niejakiego Piotra Patrel?

— Jak pan mówi? Patrel?

— Tak.

— Wcale nie.

— Spodziewałem się tego.

— Zapewniam pana jednak...

— To nie chodzi o pana. Ja mam swoją myśl pewną..

— Ach! tak!

— Czy nie dostarcza pan ubrań Anglikom, mieszkańcom Londynu?

— Londynu? Ah! bardzo mało! Mam tylko ztamtąd dwóch klientów, którzy zjawiają się u mnie ilekroć są w Paryżu, co zdarza się bardzo rzadko.

— Pomiędzy nimi jest człowiek około pięćdziesięciu lat, mały?

— Przeciwnie starszy z moich klientów doszedł zaledwie do pełnoletności.

— Tak. No to ubieraj się pan i chodź ze mną. Zabieram pana.

— Ale dokąd?

— Zależy panu na tem, żebyś wiedział?

— Zapewne, jeżeli można.

— Do Morgue.

— Do? do? Morgue?!

— Ależ nie drżyj pan tak do dyabła! Nie mamy wcale zamiaru dłużej tam pana zatrzymywać.

— Oh, mój Boże! I po co to?

— Maleńka formalność, nic więcej. No, jesteś pan gotów!

Fantillon wyszedł do przedpokoju. Z trudnością, drżąc cały, włożył na siebie płaszcz futrzany, lecz był tak poruszony, że pomimo, iż używał w dzielnicy sławy arbitra elegancyi, włożył przez pomyłkę na głowę kapelusz dwa razy za duży, który wpadł mu po same uszy i nadawał mu dziwnie komiczny wyraz.

Maleńki ten wypadek nie wzruszył bynajmniej poważnego Jaminota, który bez najmniejszej grzeczności i uwagi, popchnął grubego człowieka na schody. W jednej chwili byli na dole.

Przejeżdżała próżna dorożka. Ajent gwizdnął i wsiadł ze swoim towarzyszem. Za dziesięć minut przybyli do celu. W salach Morgue było pusto.

Publiczność nie wiedziała jeszcze o dramacie który rezegrał się na ulicy Clichy. Przed pół godziną zaledwie przywieziono trupy. Jaminot widocznie się pospieszył!

Krawiec zaraz na progu zdjął swoje śmieszne nakrycie głowy i trzymał je z powagą przed sobą, nie przez nadzwyczajne poszanowanie miejsca, w którem się znajdował, lecz pan Fantillon był to kokiet nie lada, wolał narazić się na ostry katar w zimnej i nieopalanej sali, niż przedstawić się niekorzystnie i stracić przez to cokolwiek choćby z okrzyczanej dystynkcyi i elegancyi. Pomimo zimna wielkie krople potu wywołane wzruszeniem, zrosiły jego czerwone, wypukłe czoło.

Był prawie łysy, tylko po bokach szerokiej głowy sterczały dwie kępki rudawych włosów misternie żelazkiem ufryzowanych.

Pan Fantillon nie zdawał sobie sprawy, po co go tu sprowadzono. Nie mógł się nic dowiedzieć od ajenta w drodze do Morgue, gdyż tenże nawet ust nie raczył otworzyć. Fantillon wolał już nie nalegać, w obawie usłyszenia czegoś bardzo niemiłego.

Jaminot wziął krawca za rękę i stanął z nim naprzeciw lustrzanych szyb, poza któremi ustawiono zwłoki zamordowanych. Lecz zaledwie Fantillon spojrzał, gdy nagle zbladł okropnie, zaczął kłapać febrycznie zębami i zawołał przerywanym przez wzruszenie głosem:

— Ależ! Ależ to pan Bélac.

— Pański klient? — zapytał Jaminot.

— Tak jest! I to od lat dwunastu.

— I nazywa się?

— Andrzej Bélac... z pewnością!

— Ale jakim sposobem znajduje się tutaj? — zawołał wystraszony.

Jaminot niewzruszony odpowiedział z przedziwnym spokojem:

— Zaręczam panu, że sam tu nie przyszedł! Usłużni ludziska i w których to fachu leży, sprowadzili go tutaj. Przysiągłbym nawet i założył się o wielką sumę, że nieborak nie oczekiwał tego spaceru.

Pomimo silnego wzruszenia krawiec odczuł, że ajent kpił. Chciał stosownie odpowiedzieć, lecz wstrzymał się, czyniąc sobie w duchu uwagę, że bezpieczniej będzie zamilczeć. Przybrał więc znowu pokorny wyraz twarzy.

Ajent indagował dalej.

— A pamięta pan, gdzie mieszkał?

— Spodziewam się. Chodziłem do niego osobiście po raty mi należne.

— Gdzie to było?

— Ulica Siant-Martin 502, od strony bulwaru na drugiem piętrze na prawo.

— Dobrze. Jaki był jego fach?

— Prowadził sprawy finansowe.

— On wyjeżdżał? nieprawdaż? i na czas dłuższy?

— On? Nic nie wiem o tem!... Nie mogę stanowczo twierdzić, wiem tylko, że go wiecznie spotykałem podczas codziennego mojego spaceru o godzinie szóstej, pomiędzy pasażem Opery a ul. Chaussée-d'Antin.

— A więc co znaczy ten Londyn?

— Co proszę?

— To nic... Ah, prawda! a ta kobieta?

— Nie widziałem jej nigdy w życiu.

— Jesteś pan tego pewny?

— Najpewniejszy. Nie widziałem jej nigdy. Zresztą ona jest dość ładna, żeby jej nie zapamiętać.

— To słuszne.

— Proszę pana...

— Co takiego?

— Widzi pan, ja jestem bardzo wrażliwy... Jakoś mi niedobrze... Chciałbym odejść.

— Dobrze... przejdziemy przedtem do kancelaryi.

— Co?

— No tak... pan uczyni zeznanie... To nie potrwa długo, zaręczam panu. Niechże się pan uspokoi. Ponieważ tożsamość Belaca jest stwierdzona, nie będziemy go dłużej tu trzymać. Trzeba przygotować miejsce dla innych amatorów.

— Amatorów...

— Tak! do usług pana. A więc stanowczo... o kobiecie pan nam nie może nic powiedzieć?

— Tak jest, kompletnie nic.

— Szkoda... No, zresztą zobaczymy jeszcze.. Idzie pan?

— Z przyjemnością.

W chwili, gdy wchodzili do kancelaryi, ajent dostrzegł „Brzoskwinię“ pomiędzy ciekawymi, którzy już zdołali u wejścia się zgromadzić. „Brzoskwinia“ uśmiechnął się.

— Oh! — pomyślał ajent. — Prokurator nie zasypia gruszek w popiele. Jak widzę, jego tajna policya robi swoje.

Po dokonanych formalnościach Jaminot wsiadł z Fantillonem do dorożki, która oczekiwała na nich i kazał woźnicy jechać w stronę ulicy Saint-Martin.

Dopiero w dorożce krawiec zdecydował się włożyć kapelusz. Westchnął przytem desperacko. Powóz toczył się szybko po ulicach.

— Czy pan mnie jeszcze potrzebuje? — spytał nieśmiało przemysłowiec, patrząc z pod oka na poważnego ajenta?

— Jak na teraz, to nie... Ale później z pewnością pana zawezwę. Będziesz pan tak grzeczny i nie wyjedziesz pan z Paryża w tym czasie; zrozumiałeś mnie pan?

— Tak, tak... rozumiem!

— A jesteś pan zupełnie pewny, żeś tak często spotykał na spacerze owego Bélaca?

— No naturalnie nie codziennie, ale najmniej raz na tydzień. Oh, tak! tego jestem pewny! Najmniej raz na tydzień. Pan to pojmuje? Nie potrzebowałem przecież tego zapisywać.

— I nie przypomina pan sobie jakiej dłuższej przerwy, którą mogła wywołać choroba lub nieobecność pańskiego klienta? Przerwa dość długa...

— Z pewnością nie.

— Pan twierdzisz stanowczo!

— Bo mówię prawdę. Będziesz pan mógł się o tem przekonać.

— Liczę na to. Co do pana zaś, to muszę go uspokoić, że nie myślę poruszać spraw z przeszłości. O ile zgaduję, klient pana, Bélac należał do tej bandy przemysłowców, obracających fikcyjnymi kapitałami, który z dnia na dzień oczekują zjawienia się jakiegoś nie istniejącego kapitalisty, aby ten usunął ich pierwsze kłopoty... szukając naiwnych młodzieniaszków do eksploatowania i zwabiania ich w swe operacye finansowe. Odpowiedz pan szczerze, czy nie tak było?

— Bardzo to możliwe.

— Prowadziliście razem interesa?

— Nie.

— Może choćby dlatego, żeby poznać sposób jego postępowania w takich razach?

— Powtarzam panu, że nie.

— Z braku sposobności, czy też z ostrożności?

— Nie było nigdy między nami o tem mowy.

— Przypuśćmy. Ubierał się dobrze?

— Tak. To jest używał zawsze materyi w jak najlepszym gatunku, lecz nie zbytkownych... Zawsze obstalowywał garnitury marynarkowe, a nigdy nie używał fraków, angleżowych ubrań lub żakietów...

— Widocznie mało bywał w świecie...

— Tak sądzę.

Dorożka zatrzymała się przed wskazaną kamienicą; ajent chciał zapłacić.

— O, nie! Za nic w świecie na to nie pozwolę! — zawołał Fantillon. — Tembardziej, że dorożkarza zatrzymuję jeszcze.

— Jak się panu podoba. A więc do widzenia... dziękuję za informacye.

— O, niema za co! Czuję się bardzo szczęśliwym, że mogłem panu choć w takiej drobnostce usłużyć.

— Ale prawda, jeszcze mam panu coś powiedzieć... Spodziewaj się pan lada dzień wezwania sędziego śledczego.

— Co? ja będę wezwany? — zawołał przerażony krawiec.

— No tak, pan a nie ja naturalnie! Do pioruna! ależ pan tchórzem podszyty! Nie obawiaj się pan! Poprosimy tylko o potwierdzenie rozpoznania... tego umrzyka.

— Kogo? za pozwoleniem.

— No, Bélaca! jeżeli pan nie rozumie. Zapominam zawsze, że mam do czynienia z tak delikatnym i dobrze wychowanym człowiekiem... Spodziewam się, że stawi się pan punktualnie na wezwanie. A drogę pan zna, nieprawdaż? Nie potrzebuję panu przypominać. A teraz mam zaszczyt pożegnać pana!

Jaminot wszedł do mieszkania dozorczyni domu. Na widok ajenta poczciwa kobiecina ze strachu wypuściła miotłę, którą trzymała w ręce. Podniosła ręce do góry, westchnęła ciężko i czemprędzej podała ajentowi krzesło.

— Czy pan Andrzej Bélac tu mieszka? — zapytał tenże, nie zwracając uwagi na pomieszanie starej.

— Tak, proszę pana. Czyżby ten zacny człowiek miał jakie nieprzyjemności?

— Po co to pytanie?

— O, tak sobie. Dla rozmowy...

— Ale przecie?

— Przypuśćmy, że nic nie powiedziałam.

— Proszę odpowiadać.

— Uczyniłam tak sobie uwagę dla siebie, bez większego znaczenia.

— Czy wytłómaczysz się pani, czy nie?

— A więc: Często sobie czyniłam tę uwagę, obawiając się, żeby się panu Bélac coś złego nie przytrafiło.

— Z jakiej przyczyny?

— Ano, pan wie lepiej odemnie... takie podejrzane osobistości chodzą do niego... Nie wszyscy, ma się rozumieć. Są osoby bardzo porządne... ale niektóre, no... jeden drugiegoby wystraszył, gdyby się tak wieczorem spotkali przypadkiem na brzegu lasu.

— Dużo takich wizyt przyjmował?

— Dosyć, ale nie zawsze... czasem mniej, czasem więcej i zawsze wczesnym rankiem... wpadają na krótko...

— A w ciągu dnia?

— Eh! w ciągu dnia to go nigdy niema. Bardzo rzadko kiedy wraca za dnia do domu... jak również nie wychodzi nigdy wcześniej ani później tylko o dziewiątej.

— A cóż właściwie robi?

— Prowadzi jakieś finansowe sprawy... to przecie na drzwiach u niego napisane. Ale załatwia to wszystko na mieście widocznie, kiedy go nigdy tu niema... I pewnie przynoszą mu ładne zyski, bo koło 15 i 30 każdego miesiąca odbiera pokaźne sumy...

— Skąd o tem wiecie?

— A to dobre? Skąd? Przecież zawsze mogę pogawędzić trochę z chłopcem z banku, który do niego przychodzi.

— Więc niema nikogo do pomocy... nawet służącego?

— Nawet żywej duszy... Ja go obsługuję i prowadzę gospodarstwo.

— Tak?... A więc pani ma klucze?

— Tak, klucze do mieszkania.

— Dobrze; a więc zapowiadam pani, że nie wolno tam wchodzić, aż wydam stosowne rozporządzenie.

— Jakto? a kto posprząta, kurze zetrze?

— Nikt! Proszę tylko wykonać mój rozkaz, zrozumiano? bo może być źle! Kiedy widziała pani po raz ostatni pana Bélac?

— Wczoraj rano.

— A przedtem?

— Jakto przedtem?

— No tak, w inne dnie?

— Jak zawsze, rano.

— A czy powracał regularnie co wieczór do domu?

— Regularnie z wybiciem godziny jedenastej... jestem tak do tego przyzwyczajona, że wczoraj byłam silnie zdziwiona, gdy o zwykłej godzinie nie powrócił... To coś nadzwyczajnego! To się nigdy nie zdarzało... Coś się mu stało!... Prawda? pan wie?

— Nic się mu nie stało. Jak długo Bélac mieszka w tym domu?

— Oh! będzie już z ośm lat.

— I często wyjeżdżał?

— On? gdzie znowu! Nie widziałam większego domatora.

— Tak! więc nigdy nie wyjeżdżał?

— Ah, raz czy dwa do roku i zawsze mi o tem mówił.

— A jak długo trwała ta jego nieobecność?

— Jeden dzień lub dwa najwyżej. Raz tylko nie było go trzy dni...

— Kiedyż to?

— Nazajutrz po ostatnim kwietniowym terminie...

— A do dyabła! Pewnie przyjmował wtedy dużo cudzoziemców? Anglików naprzykład?

— Wcale nie. Ludzie, którzy go odwiedzali, nie mieli wcale cudzoziemskiego akcentu... Byłabym przecież to była spostrzegła.

— Prawda! Czy wyjeżdżając zabierał z sobą jakie rzeczy?

— Tylko małą torbeczkę z przyborami do toalety. Jednakże przypominam sobie, że w kwietniu wyjeżdżając miał większy kuferek.

— Przyjmował kobiety u siebie?

— Kobiety, ani cienia.

— Nigdy?

— Nigdy! Chyba się mu pan dobrze nie przypatrzył.

— To dobrze! To dobrze... To jest wszystko co chciałem wiedzieć. Niech pani nie zapomina, że nie wolno pod żadnym pozorem iść tam na górę do mieszkania... bo może być źle!... Uważa pani?

— Zapamiętam to sobie. Niech pan będzie spokojny! Ale teraz, tak samo, jak i przedtem także, nie wiem wcale, gdzie się mój lokator znajduje.

— Pani go tak pragnie widzieć?

— No niebardzo. Mam czas przecie...

— No, nie wiadomo...

— Co pan mówi?

— Niema nadczem się dłużej rozwodzić. Zabieraj się pani bez straty czasu i chodźmy.

— Gdzie? na Boga!

— Do kancelaryi pisarza, który przyjmie panią z wielką przyjemnością.

— Do kancelaryi? do pisarza? co to znaczy?

— Do kancelaryi Morgue! No, czy pani już wie?



— Czy pan Andrzej Bélac tu mieszka?

Stara z okrzykiem: „Jezus, Marya, Józef!“ upadła bezwładnie na krzesło, napełniając powietrze niemożliwym wrzaskiem.

Ajent przez ten czas wymknął się niespostrzeżenie.

Był wściekły.

Tak dobrze mu szło do tej pory, teraz sprawa zaczynała się psuć.

Cóż mu przyszło z rozpoznania zamordowanego Bélaca? Jak dotąd nic... nie było żadnego śladu, że łączyły go jakie stosunki z mieszkańcami Wielkiej Brytanii.

— Więc dlaczegóż to bydle, podając na ulicy Clichy fałszywy adres, wspomniało o Londynie?

Myśl ta uporczywie niepokoiła ajenta Jaminot...

Łatwo wytłómaczyć, że ktoś dla omylenia władzy powie o jakiejś mieścinie na prowincyi, lecz mówić o Londynie mógł tylko człowiek, który naprawdę o tem myślał i miał w tem pewien powód. Ale jaki?

Była to rzecz bardzo delikatna, tajemnicza. Kwestya osobistej intuicyi, węchu, przeczucia, która go mogła naprowadzić na trop prawdziwy, lecz również doprowadzić do fałszywej omyłki.

Dochodziła już godzina dwunasta, gdy Jaminot wrócił na policyę i zdał sprawę sędziemu śledczemu ze swoich czynności. Tenże zaś jeszcze tegoż samego dnia zdał swój raport na posiedzeniu...

Dramat rozegrany na ulicy Clichy narobił wiele rozgłosu, okrył skandalem całe sądownictwo, a nawet ministeryum. Zależało więc bardzo na pośpiechu!

Cały personal zgodził się na jedno: trzeba było jak najspieszniej i energiczniej dotrzeć do jądra sprawy, nie pozwalając, by ona stała się przedmiotem rozmów publiczności i polemiki dziennikarskiej. Trzeba było raz na zawsze usunąć parszywą owcę bez hałasu.

Ten przeklęty Germonpré! Za mało mu było skandalu, który wywołał w Châlon swoją fatalną pomyłką! Teraz stał się dla większego rozgłosu mordercą!... Jakby rozmyślnie przysparzał swoją osobą roboty rządowi. Chyba był waryatem! Zdeklarowanym i niebezpiecznym waryatem! To było jasne. Ale tej kwestyi nie było można jeszcze poruszać. Dopieroby powstał krzyk przeciw urzędnikom, którzy znaleźli sposób zatarcia i przytłumienia skandalu. Z ładnemi napaściami przyszłoby walczyć.

Tego samego dnia dokonano rewizyi w mieszkaniu zamordowanego Bélaca.

Na zaproszenie ajenta, a właściwie na jego rozkaz, dozorczyni domu, drżąc ze wzruszenia i strachu, udała się do Morgue i tam ku swojemu zdziwieniu rozpoznała zwłoki swego lokatora. Przybiegła zziajana z powrotem na ul. Saint-Martin, i stała właśnie rozprawiając szeroko na chodniku, otoczona przyjaciółkami i znajomymi, gdy przed kamienicą zatrzymały się dwa powozy, przywożące urzędników policyjnych. Na ulicy powstało zamieszanie nie do opisania.

Pomiędzy ciekawymi, zalegającymi chodniki, było wielu, którzy będąc rano świadkami odkrycia zbrodni na ul. Clichy, teraz tutaj odnaleźli się. Wszyscy byli ciekawi, zaintrygowani, niespokojni, oczekując niecierpliwie jakiegoś rozwiązania, lub choćby okoliczności, rozjaśniającej trochę tajemniczą dotąd sprawę.

Podczas gdy pan Cardec przy pomocy komisarza policyi prowadząc rewizyę, kazał pozapalać świece i lampy, gdyż ciemność zalegała już mieszkanie, pan Desmondois, prokurator Rzeczypospolitej, rozmawiał poufnie z panem Noilem.

— Tak mój drogi panie — mówił prokurator — przyznaję panu słuszność. Dyabelnie trudną i przykrą sprawą obarczył pana prezydent sądu.

— O, przykro! I nie spodziewałem się zupełnie, że to na mnie padnie. Byłem pewny, że sprawa ta oddaną zostanie do prowadzenia któremuś z radców ministeryum.

— Wszyscy tak sądzili.

— A widzi pan.

— Tak, ale pan byłeś obecny od samego początku badania.

— I dlatego to na moją głowę spadło!

— Czy pan był w ścisłych stosunkach z oskarżonnym?

— W ścisłych? Nie... Byliśmy kolegami, towarzyszami. Uczyliśmy się razem do egzaminów, które zdawaliśmy w tym samym czasie. Był zawsze bardzo pracowity, ambitny, wytrwały, ale mrukliwy i nietowarzyski.

— Wogóle mało sympatyczny?

— Tak sobie, ani sympatyczny, ani niesympatyczny... Uchodził w szkołach za dość ubogiego i to tłómaczyło wiele rzeczy.

— Ta cała kompromitująca historya w Châlon wskazuje, że z biegiem czasu charakter jego nie uległ wielkim zmianom.

— Oh! do tej kwestyi nie chciałbym bardzo wracać. Starać się będę wykazać, że jedno z drugiem nie ma nic wspólnego. Zajmę się tylko gorliwie tem niezrozumiałem morderstwem.

— To się rozumie. Czy pan go od tej chwili nie widział?

(C. d. n.)

Dziwactwa przyrody.

Otaczająca nas przyroda w każdym ze swych objawów wykazuje tyle konsekwencyi — naturalnie w miarę, o ile została zbadaną przez uczo-



Dziwactwa przyrody: 28-letni karzełek Supramani.

nych — że każde odstąpienie od reguły, każda anomalia, wśród kół fachowych budzić musi wielkie zainteresowanie. Staje się ono tem większem, gdy chodzi o prawdziwe dziwactwo przyrody, dotyczące człowieka, który uchodzi za jej twór najdoskonalszy.

Warszawa miała sposobność przed kilku dniami oglądania i zbadania w sposób naukowy przez lekarzy trzech Hindusów, jacy produkowali się tamże w przejeździe do Londynu, a których podobizny podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma.

* * *

Pierwszy z nich — to 28 letni karzeł, nazwiskiem Supramani. Mierzy on 94 centymetry wysokości, ma kręgosłup skrzywiony i olbrzymią, stosunkowo do swego wzrostu głowę. Jest bardzo inteligentny, czego dowodem, że oprócz rodzimego języka, włada językami: angielskim, francuskim i niemieckim.

Drugi — nazywa się Gondio. Liczy lat 12, jest niemową. Odznacza się on nieproporcyonalnie małą czaszką a ogromną twarzą. Pomimo swego upośledzenia od natury, idyotą nie jest, rozumie bowiem wszystko, co mówią doń towarzysze za pomocą migów.

* * *

Trzeci wreszcie — najciekawszy z nich wszystkich — nazwiskiem Peroomal, w wieku lat 17, jest okazem rzadko spotykanym, a mianowicie obarczony jest pasorzytem, przyrośniętym do jego ciała w okolicy żołądkowej, który składa się z tułowia o czterech kończynach, lecz nie posiada głowy. Ponieważ kończyny tego potworka rozwinięte są tylko szczątkowo, więc nie posiadają mięśni i pozbawione są możności ruchu. Sam on zaś żywi się na koszt swego gospodarza, bo nie ma serca a więc własnego krwi obiegu. Peroomal odznacza się dużemi zdolnościami umysłowemi i pomimo młodego wieku mówi już czterema językami.

Anomalia, jaką jest Peroomal dotknięty, należy do bardzo rzadkich, a pod względem fizyologicznym bardzo interesujących. Pasożyt, którym go natura obdarzyła, nosi nazwę lekarską: „*Dipygus truncatus epigostrius acardiacus*“; czucie na powierzchni jego ciała jest wszędzie prawidłowe. Peroomal wielce przypomina innego Hindusa, nazwiskiem Lalo, który obecnie liczy już lat 35, a którego przed kilkunastu laty badał w Berlinie prof. Virchow. O tym Hindusie napisał wyczerpujące studyum dr. Franciszek Neugebauer i drukował je na początku bieżącego roku w „Gazecie Lekarskiej“, wychodzącej w Warszawie.

Anarchista, czy obłąkany.

Na ogół biorąc, dzień 1-go maja, ów dzień, który w myśl postulatów kierujących sfer socyalistycznych, powinien był stać się powszechnem, międzynarodowem świętem robotniczem, minął tego roku w całej Europie spokojnie. Niezawodnie przyczyniła się do tego faktu okoliczność, że uroczystość ta spowszedniała, jak wiele innych uroczystości, powtarzających się regularnie co roku, a następnie i to, że



Dziwactwa przyrody: 17-letni Peroomal wraz z pasożytem.

wszystkie rządy europejskie pogodziły się z nią poniekąd, i nie stawiają przeszkód w jej obchodzeniu. Wiadomo zaś, że przeważnie tylko zakazany owoc smakuje.

Jedynie w Paryżu przyszło do nieznacznych starć między demonstrantami świętującymi pierwszego maja, a policyą, przyczem aresztowano kilkaset osób. Z pomiędzy nich jednak tylko dziesięć osób zatrzymano w areszcie, resztę zaś po spisaniu protokółu, wypuszczono na wolność.

Natomiast zaszedł tam fakt trudny pod względem psychologicznym do wytłómaczenia. Niejaki Jakób Law, naturalizowany w Stanach Zjednoczonych żyd rosyjski, jadąc na górnem siedzeniu omnibusu, który kursuje między placem Bastylii a kościołem św. Magdaleny, dał bez powodu kilka strzałów do wojska i zranił lekko dwóch żołnierzy.

Gdyby nie to, że natychmiast go aresztowano, byłby niezawodnie zlynchowauy przez oburzoną



Dziwactwa przyrody: 12 letni Gondio.

w najwyższym stopniu publiczność, która poturbowała go tak silnie, iż nieprzytomnego odstawiono do najbliższego posterunku policyjnego.

Przyszedłszy do siebie, wzbraniał się Law podać jakiekolwiek motywy swego waryackiego czynu a przyznał się jedynie, że jest anarchistą.

Tak powyższy zamach, jak wiele jemu podobnych, spełnionych przez ludzi nadających sobie tytuł „anarchisty“, przypisać oczywiście należy skutkom psychozy, która niestety coraz częściej objawia się w życiu społecznem pod najrozmaitszemi postaciami. W takich razach trudno określić granicę, gdzie kończą się przekonania polityczne, a gdzie zaczyna się błąd na tle polityczno-socyalnem.



Anarchista, czy obłąkany?: Aresztowanie Lawa, strzelającego do żołnierzy.

Kronika tygodniowa.

W dniu, kiedy dzisiejszy numer „Nowości“ dojdzie do rąk Czytelników, będziemy już mieli posłów z 18 okręgów wiejskich i będziemy oddawali głosy w reszcie tych okręgów i w kilku miastach a między niemi we Lwowie i w Krakowie. Przypuszczam, że Czytelnicy lwowscy i krakowscy nie zechcą w tym dniu nawet rzucić okiem na moją kronikę, bo ich serca i myśli będą krążyć około Głąbińskich, Buzków, Małachowskich, Hudeców Petelenzów, Daszyńskich, Staniszewskich, Marków i całej reszty kandydatów.

Czując, że w chwili, w której się „robi“ ów raj oczekiwany, jaki ma nam przynieść równe, powszechne, tajne i bezpośrednie głosowanie, nikomu z obywateli lamowskiej Galicyi i Głodomeryi nie zależy na moich politycznych przekonaniach. Korzystam z tego szczęśliwego momentu, aby w mojej kronice przejść nad polityką do porządku dziennego.

Maleńki wyjątek zmuszony jestem uczynić, jedynie dla następcy tronu hiszpańskiego, który po dwudziestu miesiącach „niecierpliwego oczekiwania“ ukazał się nareszcie na widowni tego świata. Nie czynię to dlatego, że Hiszpania ma swoją Galicyę, ale ze względu, iż w kilku naszych pismach wyczytałem, że fakt tych urodzin jest niesłychanie ważnym wypadkiem politycznym. Dlaczego? — nie wiem. Nie umiano tego jakoś bliżej wytłomaczyć, a może rzecz jest tak prosta, że nie wymaga wytłomaczenia. Przyznaję, że domyślność moja zawodzi mnie zupełnie — i byłbym wdzięczny, gdyby który z Czytelników, lub która z Czytelniczek raczyła mnie z ciemnicy nieświadomości wyprowadzić na jaśnię świadomości. Prosiłbym przy tem dodatkowo, aby mnie objaśniono, za co monarcha hiszpański zaraz po szczęśliwem rozwiązaniu nadobnej swej małżonki, rozdał „nagrody“ grandom i dowódcy straży pałacowej.

Miałbym zresztą i ja uzasadnioną pretensyę do nagrody, bo przypominają sobie może Czytelnicy, że już przed paru miesiącami przepowiadałem ten radosny wypadek. Tylko wówczas była mowa o tem, że królowa Ena wyda na świat bliźnięta; co miało wywołać daleko idące dynastyczne komplikacye. Wskutek tego projektowałem, aby zakazać królowym tej hojności — czuję się więc szczęśliwym, że propozycya moja została przyjęta.

Te pogłoski o bliźniętach stwierdzają raz jeszcze, jak nie należy dowierzać dziennikarzom politycznym. Nawet z felietonistami radzę być ostrożnie. Oto co na przykład pobajdurzył pan Jan Lorentowicz, „skądinąd“ (jak się to u nas pisze) bardzo sympatyczny krytyk literacki i teatralny.

Pan Lorentowicz zawitał z Warszawy na jeden dzień do naszego miasta, a raczej nie do naszego miasta, lecz na przedstawienie jubileuszowe „Ślubów Panieńskich“ w naszym teatrze. Przedstawienie to rozsławiły pióra dziennikarskie po wszech lądach i wszech wodach. Dyrekcya pożyczyła od jednego z miłośników „starych gratów“ garnitur mebli typowych, takich jakie ozdabiały przed laty 70—80 nasze dworki szlacheckie; dobrano do nich resztę dekoracyj i stworzono bardzo miłą komnatkę, na tle której rozgrywała się historya prawdziwa o pannach, „które za mąż iść nie chciały“. Tą staranność (a nie „zasługi“) dyrekcyi pochwalić należy tak, jak my to czynimy, w pięciu wierszach (niech wreszcie będzie w piętnastu!). Ale że u nas nic bez przesady, więc na cześć dekoracyjnego smaku dyrekcyi a względnie artystycznego jej doradcy, spalono kilka wagonów kadzideł, a samo przedstawienie „Ślubów“ zaliczono do epokowych. W danej chwili, według pewnych krytyków i korespondentów, faktów równej donioślości mało było na kuli ziemskiej. Pan Lorentowicz też sypnął garść pochwał, ale jako krytyk spokojny i nie unoszący się nad byle czem, wylał i kilka kubków zimnej wody. Opinię jego można streścić krótko: wystawa była ładna, bardzo ładna, ale gra, choć poprawna, miejscami całkiem dobra, daleką była doskonałości; zdałaby się lepsza.

Do tej chwili jesteśmy z p. L. w zgodzie. Ale niestety felietony swoje o „Ślubach“ poprzedził on uwagami nad stosunkiem dzierżawcy teatru do gminy krakowskiej. Na podstawie dostarczonego mu kontraktu dzierżawnego usiłuje on przekonać wszech wobec i każdego z osobna, że dyrektor, czyli dzierżawca naszego teatru, jestto osoba godna litości (nie myślimy tu o p. Solskim, ale wogóle o dzierżawcy teatru krakowskiego), jest to mąż wysokiego poświęcenia, skrępowany do ostatnich granic przez komisyę artystyczną, a materyalnie wyzyskany przez gminę. Ma on np. obowiązek przedkładać repertuar, a komisya może mu go odrzucić — co więc pocznie, kiedy się już przygotował, kiedy musi wszystko rozpoczynać na nowo. Albo druga „okropność“: Komisya ma prawo usunąć jaką zechce osobę z personalu, albo narzucić aktora lub aktorkę. To są tortury, to są dzikie wymagania.

Na to odpowiemy: Kraków wybudował teatr kosztem około 2.000,000 koron (licząc i wartość gruntu) a od czasu, kiedy go postawił, dołożył do niego w ciągu lat 13 co najmniej jeszcze 500.000 koron. Zdaje się, że taki „mecenas“ ma prawo, oddając teatr w dzierżawę, zastrzedz sobie wpływ na jego kierunek i na dobór personalu. Tę zasadę stwierdzają warunki kontraktu, zabezpieczające gminie ingerencyę. Ale autorom kontraktu chodziło nie o szykany, lecz o broń przeciw tym przedsiębiorcom, którzyby usiłowali spaczyć i obniżyć znaczenie i cel sceny krakowskiej. Każdy zresztą kontrakt dzierżawny stara się zasłonić właściciela przed dewastacyą majątku — w tym wypadku jest to majątek moralny. Ale takich obostrzających warunków nie bierze się literalnie, jeżeli ich brać nie potrzeba. Czemu to ci, co dostarczyli p. Lorentowiczowi kontraktu, nie raczyli go objaśnić, jak wygląda teorya w praktyce? Czemu mu oni nie powiedzieli, że dzierżawcy wprawdzie przesyłają i przesyłali repertuar komisyi, ale ta komisya n i g d y (przynajmniej nie słyszeliśmy o wyjątku) przez lat 13 repertuaru tego nie odrzuciła. Czemu nie powiedzieli, że w ciągu lat 13 zaszedł zaledwie jeden wypadek, że komisya z powodu publicznego skandalu, (a raczej szeregu skandalów) poleciła usunąć pewną osobę płci niebrzydkiej. O narzuceniu dyrekcyi aktora lub aktorki nigdy nie słyszeliśmy i to nawet w czasach, kiedy personal z małym wyjątkiem godny był teatru prowincyonalnego... Zresztą sam ten „warunek“ widocznie świeżo został wstawiony, bo w kontrakcie, obowiązującym pp. Pawlikowskiego i Kotarbińskiego (a więc przez lat 12), całkiem go nie było. Tak wygląda w rzeczywistości ów terror komisyi nad nieszczęśliwym dzierżawcą teatru krakowskiego!...

Nie mamy miejsca na polemikę o straszne warunki materyalne, w jakich gmina postawiła dzierżawcę. Wspomnimy tylko o jednym.

Miasto kupiło od poprzedniego dzierżawcy garderobę, a więc obecnego dzierżawcę ochroniło od wielkiego na początek wydatku — bierze od niego tylko niską opłatę za używanie tej garderoby, niską, bo odpowiadającą ściśle zmniejszaniu się wartości tego ruchomego kapitału. Owóż tę niesłychaną ulgę p. Lorentowicz uważa za ciężar!

Ba! jego dziwi, że gmina żąda od dzierżawcy, aby światło elektryczne do gmachu miejskiego, jakim jest teatr, brał z miejskiej elektrowni. Ale mniejsza o to. Dość, że pomijając wszelkie inne tortury materyalne, jakim podlega godzien litości dzierżawca, kończymy swą odpowiedź p. Lorentowiczowi serdeczną radą, aby wziął w dzierżawę na jakie 10 lat teatr krakowski. a jeżeli będzie na nim corocznie tyle tracił, co obecny dzierżawca, to niżej niepodpisany zastrzega sobie za dobrą radę (po tych 10 latach) bezpłatne 4-pokoikowe mieszkanko w jednej z trzypiętrowych kamienic p. Lorentowicza, wybudowanych za poniesione straty na teatrze krakowskim.

A teraz zajrzyjmy w inne okolice. Na początek do Chin, gdzie biorą się na seryo do zaprowadzenia przymusu szkolnego. Nie trzeba dowodzić, że to jest rzecz ładna i pożyteczna. Chcę tylko podnieść praktyczność Chińczyków. Otóż postanowiono, że tym, co własnym kosztem założą szkołę na 500 dzieci, udzielone zostaną tytuły szlacheckie i honorowe. Brawo! myśl wspaniała. Polecam ją naszym świeżo upieczonym i upiec się mającym posłom. Niech Rada państwa uchwali coś podobnego, a ręczę, że ustaną wkrótce narzekania na zbyt powolny wzrost naszej oświaty.

W samej Galicyi przybyłoby z 500 rodzin hrabiowskich, a wszak dobrego nigdy nie zawiele. Ci, co nimi dotychczas zostawali (pomijam rody historyczne) zawdzięczali swe tytuły majątkowi, protekcyi, koligacyi lub zasługom bezimiennym. Niechby raz prawdziwa zasługa dawała prawo do tytułu. Wprawdzie takich „szkolnych hrabiów“ lekceważyliby z początku dzisiejsi hrabiowie, ale z czasemby się różnica zatarła. Kto wie nawet, czy za czasów mądrzejszych (a jest nadzieja, że takie nadejdą), nie uważanoby takiego szkolnego początku rodu za więcej zaszczytny. Tylko pod innym względem nie radzę naśladować Chińczyków. Mają oni ten dziwny zwyczaj, że odbierają tytuły honorowe rodzinom, które od paru ostatnich pokoleń niczem się nie zasłużyły. Nie ten jest u nich arystokratą, którego przodek w XIV lub XV wieku był mężem znakomitym, lecz ten, który sam jest człowiekiem zasłużonym, lub miał ojca a co najmniej dziada zasłużonego. Gdybyśmy tę zasadę przyjęli, byłaby straszna redukcya u nas hrabiów, książąt i baronów. A tego sobie nawet my, chudopachołkowie życzyć nie powinniśmy, boć przecie to miło znać się z księciem, mówić z hrabią, przejść się po rynku z baronem. A im więcej arystokracyi, tem większa nadzieja, że który z naszych synów ożeni się z gołą hrabianką, lub która z córek naszych wyjdzie za gołego barona. Ot i od razu może zostać nadczłowiekiem.

O mnogości naszych hrabiów nie wiedział Roosevelt, a przecież nas chwalił jako naród, mający przyszłość przed sobą. Pochwałę tę uzyskaliśmy z powodu projektów na pomnik Kościuszki. „Polacy — mówił pan północno-stanowy prezydent — wydali Kościuszkę, Sienkiewicza, mają tylu zdolnych rzeźbiarzy... Taki naród nie zginie“. Mocno się cieszymy z tej opinii, choć trudno zaprzeczyć, że jest dość naiwna, dowodząca, jak mało znają nas wielcy tego świata. Największy wielbiciel Kościuszki przyzna (a któż do tych wielbicieli się nie zalicza!), że jest tysiące jeszcze innych dowodów, iż żyliśmy, żyjemy i żyć będziemy. Dowody te dawniej nazywały się (jeżeli idzie o osoby) Zygmuntami, Kopernikami, Czarnieckimi, Kochanowskimi, Chodkiewiczami, Staszicami, Mickiewiczami, Lelewelami, Chopinami, Matejkami i t. d. i t. d. i t. d. (setki nazwisk na myśl przychodzą) — a dziś, aby nazwisk nie ruszać, mamy tych dowodów coraz więcej w pracy zbiorowej na wszystkich polach we wszystkich dzielnicach.

Oto (biorąc rzeczy najświeższe z jednej tylko dziedziny oświaty) zabieramy się do założenia gimnazyum polskiego w Białej, oto rzucamy grosz na Macierz śląską, oto złożyliśmy koło 200.000 rubli jako „dar narodowy“ w dniu 3 maja na Macierz szkolną w Królestwie. To trochę więcej znaczy, to o duchu nas ożywiającym, o naszej przyszłości, więcej mówi, niż kilka ładnych projektów rzeźbiarskich, które wywołały pochlebną opinię Roosevelta.

Kącik humorystyczny.

Przed sądem.

Sędzia (do złodziei). Więc jakeście wy się tam dostali do tego mieszkania?

I. złodziej. Proszę pana sędziego myśmy nie mieli woale żadnych zamiarów. Idziemy sobie ulicą i spostrzegamy, że okna otwarte. Nie namyślając się więc długo, wlazłem przez okno, aby lokatorów ostrzedz i poprosić by okna zamknęli, bo to teraz bardzo niepewne czasy.

Sędzia. A ty drugi co tam robiłeś?

II. złodziej. Ja proszę pana radcy stałem pod oknem i perswadowałem memu koledze, aby tego nie robił, bo zamiast wdzięczności, gotowi go jeszcze w razie przydybania wziąść za złodzieja, jak się też i stało!...

Dokładny.

Ojciec (do k o n k u r e n t a). A więc, jak powiedziałem daję mojej córce teraz 50.000 a po mojej śmierci dostanie drugie tyle.

Konkurent. A kiedy się można spodziewać...

Ostatnia wola.

Pan B. czując się bardzo chorym, kazał zawezwać notaryusza, by zrobić testament.

— Mojej żonie — rozporządził w pierwszej linii — przeznaczam 1000 złr. renty.

— A co będzie w takim razie, jeśli będąc jeszcze młodą, wyjdzie za mąż powtórnie? — pyta notaryusz.

— W takim razie otrzyma 2.000 złr. renty.

— Jakto? Dwa razy tyle?

— Tak. Człowiekowi, który z nią się ożeni, należy się jakieś odszkodowanie. Niech wie, że z nim współczuję. Pisz pan 3.000 złr. rocznie.

Czterdzieści lat pracy nauczycielskiej.

Zawód pedagoga mieści w sobie tyle trudności, a tak mało w ogóle przynosi korzyści, że tylko wyjątkowe jednostki mogą w nim wytrwać długie lata, nie zgorzknieć i świecić ciągle całemu szeregowi uczniów przykładem, jak należy spełniać wzięte na siebie obowiązki. A jeżeli trudno być nauczycielem wogóle, to o ileż trudniej jest być dobrym nauczycielem muzyki, który więcej niż każdy inny ma do czynienia z materyałem nader wrażliwym, nerwowym, a często skutkiem tego poddającym się z wielką trudnością wymaganiom racyonalnej pedagogii.



Czterdzieści lat pracy nauczycielskiej: Jubilatka J. Laurecka, nauczycielka muzyki.

Geniusze muzyczni nie zawdzięczają wprawdzie swej wielkości szkołom, lecz trzeba o tem pamiętać, iż stanowią oni wyjątki, poza którymi istnieje tłum więcej lub mniej wybitnych talentów, tworzących wielki świat muzyczny i nie mogących obejść się bez nauki, odebranej w dobrze, sumiennie i z talentem prowadzonej szkole.

Jedną z nauczycielek w tym duchu, prowadzących wykształcenie muzyczne swych pupilów, jest p. Joanna Laurecka, która w tych dniach obchodzi we Lwowie czterdziestoletni jubileusz swej żmudnej, a pełnej pięknych skutków pracy zawodowej, a której portret zamieszczamy w dzisiejszym numerze naszego pisma.

Pani Laurecka — sama uczennica znakomitego muzyka-pedagoga śp. Karola Mikulego, dyrektora lwowskiego konserwatoryum — kładzie główny nacisk na wykształcenie u swych uczennic zmysłu pedagogicznego. Wiele też z nich pozakładało z biegiem czasu własne szkoły muzyczne (we Lwowie sześć ich istnieje), dzieląc się w dalszym ciągu ze swymi uczniami i uczennicami nabytemi u p. Laureckiej gruntownemi wiadomościami z dziedziny muzyki.



Bielany pod Warszawą: Widok kościoła i eremu ks. Kamedułów na Bielanach.

Nietylko jednak jako znakomita siła pedagogiczna cieszy się p. Laurecka wielkiem uznaniem szerokich kół we Lwowie. Cenioną ona jest także jako osoba bardzo dobra i szlachetna.

Wyrazem tego uznania jest właśnie obchód jubileuszowy, jaki w lwowskiem stowarzyszeniu nauczycielek urządzają jej dawne uczennice. Najwybitniejsze siły ze świata muzycznego stolicy kraju wstąpiły do komitetu, zajmującego się tym obchodem, którego celem jest uczczenie zasług cichej, lecz doniosłej pracy jubilatki i wyrazem uczucia wdzięczności serdecznej mnóstwa osób, co korzystały z jej światłych rad i wskazówek.



Bielany pod Warszawą: Grobowiec Staszica przy murze kościoła OO. Kamedułów.

Z Dumy.

Ścichły na czas feryj świątecznych, wedle starego stylu, odgłosy namiętnych dyskusyj w pałacu Taurydzkim. Natomiast działalność polityczna posłów przeniosła się do ich okręgów wyborczych.

Myliłby się jednak ten, coby sądził, że posłowie do Dumy korzystają z takiej samej swobody porozumiewania się ze swymi wyborcami, jaka jest udziałem posłów do innych parlamentów europejskich. Bynajmniej! Rząd rosyjski utrudnia, o ile może, to porozumiewanie się, stawiając przeszkody składaniu przez posłów publicznych relacyj ze swej działalności i otacza ich natomiast bardzo troskliwą opieką policyjną, która wzmaga się w miarę tego, im wybitniejsze stanowisko zajmuje dany poseł w gronie swych opozycyjnych kolegów. Nawet sam prezydent Dumy, Gołowin, nie zdołał się od tej czułej opieki uwolnić.

W dalszym ciągu podawanych przez nasze pismo obrazków z Dumy, umieszczamy dziś podobi-

zny sympatycznych naszych posłów chłopskich: Głowackiego i Dziurzyńskiego, oraz zdjęcie, dokonane w chwili, gdy artysta-malarz Kurennoj szkicuje z natury jednego z posłów, duchownego prawosławnego, należącego do „partyi pracy“. Kurennoj bo-



Bielany pod Warszawą: Portal głównego wejścia do kościoła OO. Kamedułów na Bielanach pod Warszawą.

wiem, zamierza namalować olbrzymich rozmiarów obraz, przedstawiający posiedzenie Dumy, na którym wszyscy jej członkowie będą portretowani.

Wesoła wdówka.

Wyborna operetka Lehara, jednego z młodszych kompozytorów wiedeńskich, p. t. „Wesoła wdówka“, operetka która w Wiedniu zyskała takie powodzenie, iż przez przeszło 400 przedstawień wypełniała po brzegi teatr, została niedawno wystawioną w teatrze lwowskim. I tam zyskała ona dzięki prześlicznej, lekkiej muzyce, miłej treści oraz wybornej grze artystów, ogromny sukces.

Ale bo też dyrektor Heller, oraz reżyser p. Lelewicz włożyli bardzo wiele pracy i starań, aby tę perełkę lekkiej muzyki wystawić okazale. To też wszystkie dotychczasowe przedstawienia, a było ich już kilkanaście, odbyły się przy wysprzedanej do ostatniego miejsca widowni.

Największą zaletą „Wesołej wdówki“ jest muzyka. Cały szereg melodyjnych walczyków, które cały Lwów umie już na pamięć, mnóstwo pięknych, smętnych aryj — oto tajemnica powodzenia tej operetki. Również libretto, układu pp. Leona i Steina, bynajmniej nie banalne, podoba się powszechnie.

W wykonaniu operetki tej bierze udział cały prawie personal operetkowy, a na czele panie Kasprowiczowa, dalej Miłowska i Schuppówna, które dublują tytułową rolę, oraz panowie Lelewicz i Solnicki.

W drugiej połowie czerwca przybywa do Krakowa opera i operetka lwowska, wówczas więc będą mieli Krakowianie sposobność zapoznać się z tym pięknym utworem i rozkoszować się prześliczną jego muzyką.

* * *

Na razie zamieszczamy w uzupełnieniu tego artykuliku trzy zdjęcia z „Wesołej wdówki“, przedstawiające pp. Solnickiego, Miłowską, Lelewicza, oraz p. Schuppównę.

Jubileusz korporacyi szewskiej we Lwowie.

Jeden z najstarszych cechów lwowskich, cech majstrów szewskich, święcił w ubiegłym tygodniu



Wesoła wdówka: P. Schuppówna.

jubileusz 550 rocznicy swego założenia a równocześnie i uroczystość poświęcenia nowego sztandaru.

Cech szewski istniał właściwie już w pierwszych latach po założeniu Lwowa. Pierwszą wzmiankę o tym cechu w aktach m. Lwowa znajdujemy przy r. 1381 wraz z wiadomością, że król Kazimierz Wielki powołał cech szewski do życia na nowych podstawach w r. 1356 i obdarzył go pra-



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Z Dumy: Posłowie chłopscy Głowacki i Dziurzyński.



Fot. N. Olszanskij, Petersburg.

Z Dumy: Artysta-malarz szkicuje z natury jednego z posłów.

wem magdeburskiem. Ustawy, czyli artykuły cechowe zatwierdzali następnie wszyscy królowie polscy. Minęło więc sporo lat od chwili powstania cechu szewskiego, w ciągu wieków Lwów przechodzi rozmaite koleje, Rzeczpospolita polska utraciła byt polityczny, a równocześnie i dawne ustawy cechowe zastąpione zostały nowymi statutami. Związek majstrów szewskich istnieje odtąd jako korporacya czcząc i kochając pamiątki swej chlubnej przeszłości.

Zmieniły się ustawy, zmieniły się i stosunki wśród rękodzieł w kraju. Dawne czasy świetności i bogactwa minęły niepowrotnie, nadeszły zaś chwile bardzo ciężkie, chwile wprost przełomowe. Konkurencya zagranicznej tandety fabrycznej, walcząca ciągłem obniżaniem cen, podkopała byt całego szeregu warsztatów szewskich. W czasach tak ciężkich jedynie łączność i organizacya może uratować upadające rękodzieło i zapewnić mu dalszy byt...



Wesoła wdówka: Pp : Lelewicz i Solnicki.



Wosoła wdówka: Pp. Miłowska i Solnicki.



Jubileusz korporacyi szewskiej we Lwowie: Grupa uczestników uroczystości.

To też uroczystość jubileuszowa stała się niejako hasłem, wzywającem wszystkich majstrów szewskich do łączności i solidarności a drogę do skutecznej pracy na polu ekonomicznego odrodzenia miał wskazać pierwszy krajowy wiec majstrów szewskich, który następnego dnia po uroczystości jubileuszowej odbył się we Lwowie.

Uroczystość szewska, w niedzielę urządzona, miała przebieg bardzo podniosły. Rozpoczęła się nabożeństwem w kościele archikatedralnym, poczem nastąpiło poświęcenie nowego sztandaru cechowego i wbijanie gwoździ przez rodziców chrzestnych. Nowy sztandar wykonany został w pracowni lwowskiej p. Lewickiej. Z jednej strony widnieje wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, na drugiej św. Kryspina i Kryspianina, patronów szewstwa.

Po poświęceniu ruszyli uczestnicy uroczystości pochodem do ratusza, gdzie w sali obrad Rady miejskiej nastąpiło oddanie sztandaru w ręce prezydyum korporacyi. Zakończeniem była wspólna uczta w sali „Gwiazdy“.



Jubileusz korporacyi szewskiej we Lwowie: Członkowie wydziału i komitetu sztandarowego.

Śmierć wybitnego adwokata.

W żadnym chyba zawodzie nie jest tak trudno, jak w adwokackim, zarobić sobie na powszechny szacunek i przyjaźń ludzką. Z natury swych obowiązków adwokat musi często stawać się rzecznikiem wprost przeciwnych interesów, które znów nieraz dają mu zbyt łatwą sposobność do zejścia z drogi prostej na manowce.

Tem więcej tedy zasługują na dobrą pamięć ludzie takiego charakteru, takiej prawości, a przytem takiej wiedzy zawodowej, jak zmarły przed paru dniami adwokat, dr. Roman Jakubowski, jeden z najwybitniejszych członków palestry krakowskiej.

Śp. Roman Jakubowski urodził się w Kentach 1841 roku i po ukończeniu studyów prawniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim, przeszedł w roku 1876 ze stanu sędziowskiego do adwokatury. Odznaczając się głębokimi wiadomościami fachowemi i wielką prawością, zdobył też wkrótce nader liczną klientelę.

Pomimo, że zmarły miał wszelkie warunki potemu, aby odegrać wybitną rolę w życiu politycznem, nigdy się o to nie kusił. Zasadą jego było sumienne spełnianie obowiązków zawodowych, co uważał za najważniejsze zadanie każdego adwokata.

Nie zasklepiając się w samej praktyce, śp. Ja-

Z lwowskiego bruku.

(Bezhołowie przedwyborcze, jakiego nie pamiętamy. — Walka i jej system. — Magistracki pośpiech, czy opóźnienie. — Z teatru).

To, co się dziś u nas dzieje, nie jest już nawet tragifarsą, ale jakąś kołtuńsko-narodowo-skoncentrowano-socyalistyczno-syonistyczno-klerykalno-stańczykowsko-bezbarwno-różnokolorowo-korrupcyjno-agitatorska tragibomba, jakiej ludzkość, nawet ta pamiętająca, nie pamięta. Pamiętamy bowiem agitacyę wyborczą i przekupstwa przy wyborach, i oblepianie się błotem i afiszami i kandydatów, obnoszonych na łopatach i łopaty obnoszone przez kandydatów i łopaty wielkie, jak ich kandydaci i kandydatów mądrych, jak ich łopaty i jeszcze inne łopaty i jeszcze innych kandydatów i wózki, reklamujące kandydatów i konie zalecające przyszłych posłów i konie należące do przeciwnych stronnictw i krew rozlaną w obronie wolności wyborów i wolności kupowania głosów i bagnety żandarmskie i hyeny wyborcze i inne bydlęta wyborcze pamiętamy, ale takiego pomieszania pojęć, tak strasznego pomieszania t. zw. rozumu nie pamiętatają najstarsi ludzie, najstarsze konie, ba! nawet najstarsza naiwna lwowskiego teatru ludowego, który prosperuje nareszcie doskonale, bo od roku wcale nie istnieje.

Wystarczy dla małego przykładu przytoczyć fakt, że „Słowo Polskie“, które namiętnie zwalcza kandydaturę Janowicza dlatego, że kiedyś był szynkarzem, popiera namiętnie kandydaturę szynkarza Raucha, chyba tylko dlatego, że jest szynkarzem, bo zresztą żadnych innych nie ma zasług. I nie chodziłoby mi o Janowicza, gdyby go „Słowo“ zwalczało, jak się zwalcza przeciwnika. Ale „Słowo“, które zarzuca socyalistom wieczne bryzganie błotem, prześcignęło w tym wypadku wszystkich, którzy kiedykolwiek „robili w błocie“. Innych przykładów powszechnego bezhołowia przedwyborczego tylko dlatego nie podaję, bo mając wyliczyć kilka, nie wiem, który lepszy. Zwołuje się n. p. wielki wiec w sprawie „czystości“ wyborów i najwięcej na nim gębują ci, którzy wczoraj i nazajutrz ku powali i kupują głosy, licytują, terroryzują, bryzgają jadem, plują na przeciwników i wyciągają im koszule i obcierają sobie nosy. Wogóle nie pamięta się ohydniejszego, wstrętniejszego, sposobu walki, obrzydliwszej taktyki „politycznej“ — obskurniejszego cynizmu, skandaliczniejszego terroru, haniebniejszych pamfletów, podlejszych sztuczek nad te, których świadkami jesteśmy codziennie w tej marnej walce o marne dyety. To skandaliczne rozpasanie ohydnych instynktów, które dotąd drzemały pod elegancką klapą europejskiego tużurka i udawały „dobre wychowanie“, inteligencyę, jednem słowem Europę — jest najlepszym obrazem kim kto jest, choć chciałby uchodzić za kogo innego, bo — nosi modny europejski tużurek. Że się to wszystko zemści bardzo rychło i przyjdzie „Fluch der bösen That“, to jest tak pewnem. jak pewnem jest, że ogół już dziś przejrzał i wie, z kim ma do czynienia.

Zresztą — zobaczeremo!

Ponieważ jednak jeden kandydat twierdzi i przekonuje dowodnie, że drugi kandydat jest łajdakiem, a siedmiu kandydatów w każdym razie wyjść musi, przeto już dziś możnaby powiedzieć, na podstawie afiszów i artykułów dziennikarskich, że Lwów wyszle do Wiednia siedmiu ukończonych łajdaków. Proszę sobie wyobrazić, co to za perspektywa i ileby to trzeba było walczyć, ile pieniędzy sypać, ile błota zużyć i ile drukarń fatygować, ażeby się zdobyć na taką paczkę dobranych wybrańców. Pęknąć ze śmiechu, to za mało, bo można, ale to bez przesady — lecz nie mówmy o tem, bo się ogół wyborców i ogół kandydatów obrazi. Zwłaszcza przy dzisiejszej ogólnej wrażliwości.

Poza wyborami, których wyniku jeszcze nieznamy, cieszymy się wiosną, a raczej gorącem latem, czego najlepszym dowodem jest, że niektórym właścicielom kamienic doręczono z magistratu wezwania, aby pod grzywną 20 kor. sprzątnęli z dachów swoich kamienic nagromadzone tamże kupy... śniegu.

Te rozkazy magistrackie, zreferowane jeszcze w styczniu, dostały się zaledwie w połowie maja do rąk interesowanych. Jest to — nie, jakby ktoś może sądził — spóźnienie fatalne, ale raczej pośpiech niepotrzebny, bo wystarczyło już zatrzymać te wezwania jeszcze parę miesięcy, a byłyby się przydały na drugą zimę. Ot, rozrzutność magistracka i tyle. Wezwani obywatele udali się do magistratu z zapytaniem, gdzie mają znaleść ten śnieg, bo potrzebny im jest do ochłodzenia. Magistrat przyrzekł odpowiedzieć na piśmie, bo wie, że zanim odpowiedź dojdzie do adresatów, będą już znowu śniegi.

Z teatru tylko zanotować wypada przepięknie wystawionego „Juliusza Cezara“, który wypadł pod każdym względem doskonale. Wesoła krotochwila, swoją drogą dość pieprzna, „Osobna sypialnia“ tak rozdrocz
yła recenzentów, że jeden postanowił się ożenić a drugi jeszcze coś straszniejszego obmyślił. P. Heller postanowił odtąd — ze względu na młodociany wiek recenzentów lwowskich — dawać tylko same poważne, umoralniające sztuki na tle pedagogicznem. Pierwszą taką sztuką będzie, jako przeciwne „pendent“ do poprzedniej, dramat p. t.: „Wspólna sypialnia“, a napisze ją jeden z nieodznaczonych na konkursie Wydziału krajowego autorów.

Kl.

kubowski zajmował się także teoryą a liczne jego prace z zakresu prawa, drukowane były po pismach fachowych.

Ciesząc się wielkiem zaufaniem swych kolegów, był śp. Jakubowski powoływany kilkakrotnie na



Śmierć wybitnego adwokata: Śp. dr. Roman Jakubowski

prezesa Rady dyscyplinarnej krakowskiej Izby adwokackiej, oraz piastował godność członka komisyi do egzaminów adwokackich.

Cześć jego pamięci!

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

16. **przełożył z włoskiego W. Ż. K.**

Ciąg dalszy

— Napij się pani prędko, to cię orzeźwi.

W tej chwili wyrwał mu szklankę z rąk Aleksandrowicz i rzekł spokojnie:

— Panie hrabio Montegretto nie bądź trucicielem.

Conte Alfonso z wściekłością zwraca się do Aleksandrowicza i woła:

— To bezczelność mój panie. Napadasz mnie w mieszkaniu, jak opryszek, albo szaleniec; jeżeli nie wyjdziesz natychmiast, użyję broni. — To rzekłszy dobył rewolweru i skierował go ku Aleksandrowiczowi.

W tej chwili otworzyły się drzwi i na progu zjawili się dwaj ajenci z dobytymi rewolwerami, Aleksandrowicz zaś silnem uderzeniem w ramię wytrącił broń z ręki hrabiego i rzekł spokojnie:

— Już miałem przyjemność przedstawić się panu, mości hrabio, na dworcu w Genui, wówczas gdy pan wyjeżdżałeś do Wenecyi i gdy przeglądałem pańską legitymacyę. Wtedy miałem tylko podejrzenie, że pan jesteś sprawcą morderstwa na Salita Santa Nicola, teraz mam już przekonanie i dowody i dlatego aresztuję pana w imieniu prawa, wraz z panią Eleną Luidgarde.

XX.

Zeznania.

Ujętych przewieziono do więzienia policyjnego i umieszczono każde z osobna, aby się porozumiewać nie mogli. Najpierw wezwano do przesłuchania hrabiego, ale ten odmawiał wszelkich odpowiedzi, a nawet nie chciał potwierdzić swojego nazwiska, więc go odesłano do sądu karnego, wraz z najdokładniejszem sprawozdaniem policyi i z orzeczeniem chemików, że w onej szklance wody, którą Montegretto chciał podsunąć Elenie, znajdowała się trucizna, zabijająca odrazu.

Eleonora odmawiała również odpowiedzi, bo Conte Alfonso wmówił w nią, że to najlepszy środek obrony, do niczego się nie przyznawać, wszystkiemu zaprzeczać. Postanowiono pozostawić jej jakiś czas do namysłu, a wreszcie przypuszczano słusznie, że skoro cośkolwiek uspokoi się z pierwszego wrażenia, będzie skłonniejszą do czynienia zeznań. Ale i następnego dnia Elena uparcie milczała, wtedy Aleksandrowicz zbliżył się do niej i pokazując miniaturę Wilhelminy, na złamanej spince, zapytał łagodnie:

— Czy pani zna to dziecko?

Na widok miniatury zadrgało w Elenie uczucie macierzyńskie i opanowało ją tak, że w tej chwili nie myślała już ani o przestrogach Alfonsa, ani o niebezpieczeństwie, które jej samej groziło. Przestała być wszystkiem, a była w tej chwili tylko matką. Aleksandrowicz pokornie się odezwał:

— Znasz pani to dziecko? Czy je tu mamy sprowadzić z Genewy?

Elena wpatrzyła się w Aleksandrowicza, łzy jej puściły się strumieniem, załkała boleśnie i runęła na kolana, wyciągając ręce ku ajentowi:

— Nie, nie! Zlitujcie się panowie, zostawcie w spokoju moje dziecko, ja powiem wszystko, tylko niech Wilhelmina nie dowie się nigdy o tem, że jej matka była.... powiem, niczego nie zataję, nie skłamię, wierzajcie panowie, tylko dziecko moje pozostawcie w spokoju!

Wyczerpana wzruszeniem zemdlała. Przeniesiono ją do celi, sprowadzono lekarza.

Nazajutrz stanęła Elena pełna rezygnacyi przed komisyą sądową. Opowiedziała szczerze historyę swego życia, przykry epizod małżeństwa z baronem Petko, jak uciekła z jego domu i jak potem znowu przybyła do Paryża.

— Wróciłam na scenę, ze względu na to, aby pomnażać majątek, którego potrzebowałam już nie tylko dla siebie, ale i dla mojej córki, bo mój mąż baron Petko się jej wyparł i za swoją uznać się wzbraniał. Znienawidziłam go za to jeszcze bardziej, że tak krzywdził własne dziecko, ale duma nie powoliła mi szukać pomocy sądowej, aby zmusić barona do uznania swej córki. Zarazem też miłość macierzyńska także mnie od tego odwodziła, lękałam się bowiem utraty dziecka, a jeszcze bardziej tego, aby jej baron Petko krzywdy nie wyrządził. Żyłam uczciwie i skromnie, bo widok dziecięcia był dla mnie strażnicą, strzegącą od tych wszystkich pokus i ponęt, jakich dostarcza scena, jakich dostarcza sam Paryż. Poznałam hrabiego Montegretto. Zbliżył się do mnie, jak zbliżało wielu innych, aby pozyskać na chwilę, zabawić się, porzucić. Całe roje tego rodzaju wielbicieli usunęłam od siebie z godnością, ale hrabiego Alfonsa usunąć nie zdołałam. Po raz pierwszy w życiu doznałam uczucia prawdziwej, głębokiej miłości. Pokochałam go namiętnie. Wydał mi się ideałem pięknego, dzielnego mężczyzny. Miłości taić nie umiałam, a on udawał, że mi się odwzajemnia głęboką miłością. Wierzyłam mu ślepo, nie miałam przed nim żadnych tajemnic, dowiedział się też, że posiadam majątek zupełnie dostateczny do wygodnego życia i wówczas oświadczył się o moją rękę. Zaręczyliśmy się. Ale przeszkodą dla nas był baron Petko. Rozpoczęłam przez adwokatów starania, aby się baron zgodził na rozwód, bośmy byli tylko separowani sądownie. Znalazły się sposoby jurydyczne, które rozwód czyniły możliwym, ale baron Petko nie tylko nie zgadzał się na to lecz nawet zaczął domagać się uporczywie, abym do niego powróciła. To mnie jeszcze bardziej na niego oburzyło. Adwokat zapewnił mnie, że według prawa francuskiego, mogę otrzymać rozwód nawet bez zgody barona Petko, a to na tej podstawie, że mnie bił i znieważał, tuż przed powiciem dziecka. Chciałam się na to zgodzić, ale mój narzeczony, hrabia Montegretto powstrzymał mnie od tego ze względów finansowych. Wytłomaczył mi, że pozbawiłabym się dobrowolnie ćwierć miliona koron majątku, bo w intercyzie ślubnej zobowiązał się baron Petko przekazać mi testamentarnie 250.000 koron po śmierci, przy czem atoli było zastrzeżenie, że w razie rozwodu, nie byłby obowiązany do tego zapisu. Hr. Montegretto opowiadał mi, że ma wielkie dobra w Hiszpanii, ale otrzymał je w sukcesyi po rodzicach tak zadłużone, iż teraz nie ma z nich dochodu, więc gdybym wyrzekła się tego zapisu, dochody nasze byłyby szczupłe, niewystarczające do wygodnego życia. Usłuchałam go. Natomiast doradził mi hr. Alfons, abyśmy opuścili Paryż, przenieśli się do Genui i abym tutaj rozpoczęła osobiście układy z baronem, który do Włoch często przyjeżdżał.

Hr. Alfons taką miał władzę nademną, że we wszystkiem słuchałam go niewolniczo, to też za jego namową napisałam do mego męża, aby do Genui przyjechał, gdzie łatwiej możemy się porozumieć osobiście, ustnie, niż za pośrednictwem pism i adwokatów. Baron Petko, który pałał żądzą odzyskania mnie, przyjechał do Genui w kilka dni po moim liście, najął mieszkanie w Salita Santa Nicola. Przez adwokata wyraził chęć widzenia się ze mną, i z adwokatem też udałam się do niego. Gdy mnie zobaczył, popadł w jakiś szał zwierzęcy i mimo obecności adwokata, narzucał mi się z takiemi wstrętnemi pieszczotami, iż ledwie obronić się zdołałam. Wstręt mnie przejmował ku niemu coraz większy.

Przyrzeczeniami, że się zgodzi na moje żądania, zwabiał mnie do siebie, lecz każdym razem kończyło się na tem, że ani słuchać nie chciał o rozwodzie. Natomiast przysięgał najuroczyściej, że będzie dla mnie najtroskliwszym, że będzie ze mną mieszkał, gdzie tylko zechcę, że mi zapisze połowę swojego majątku, bylebym tylko wyrzekła się seperacyi i powróciła do niego. Uwierzył nawet wreszcie, że Wilhelmina jest jego córką, przyrzekł być dla niej najtroskliwszym ojcem, płakał nawet przedemną, błagał i zaklinał, abym mu nie skrócała życia uporem. Ale miłość moja do hrabiego była tak wielką, że te wszystkie prośby, zaklęcia, przyrzeczenia, tylko rozdrażniały mnie coraz bardziej.

Opowiadałam o tem wszystkiem Alfonsowi. Słuchał cierpliwie, a po każdem opowiadaniu targał mojie serce nieszczerą radą, abym wróciła do męża, skoro mi takie czyni obietnice. Wiedział dobrze, że tego nie uczynię, bo szalenie go kocham, a jednak droczył mnie temi nieszczeremi radami po to jedynie, aby moją nienawiść do barona podniecać. Pewnego dnia, gdy w najwyższym stopniu byłam oburzona, rzekł od niechcenia:

— Skoro tak, to nie wypada nic innego, jak tylko usunąć ze świata upartego człowieka.

Struchlałam. Spojrzałam z osłupieniem na hrabiego. On umilkł. Powtórzyło się to kilka razy — tak, że mnie ta myśl przestała oburzać. Gdy to spostrzegł hrabia, zaczął mi w jaskrawy sposób przypominać krzywdy, których od męża doznałam, tłomaczył, że za te straszne zniewagi, zasłużył na karę, że Opatrzność Boska wyszukuje i przeznacza narzędzia kary, że myśmy właśnie owem narzędziem Opatrzności Boskiej, że wobec najskrupulatniejszych pojęć etycznych nie możemy uchodzić za zbrodniarzy, jeno za sprawiedliwych mścicieli. Wymowny był hrabia, bardzo wymowny! Żeby to kto inny przemawiał, znalazłbym może w sobie dość siły do odparcia tych argumentów. Ale to przemawiał człowiek, którego ukochałam namiętnie, miłością pierwszą, a tem potężniejszą, że pojawiła się dopiero w 33 roku mojego życia. Alfons przemawiał. Z ust jego pochodziły nie tylko słodycze pocałunków, z ust jego pochodzić musi tylko prawda. Uległam. Zgodziłam się! byłam gotową mordować, mścić się, aby wymierzyć akt sprawiedliwości. Przed oczyma stanął mi obraz dziecka. Ja, matka tego dziecięcia mam zabijać jego ojca?! Gdy ono się spyta kiedyś: „Matko? gdzie mój ojciec?“ co ja mu odpowiem, jak spojrzę na to dziecko moje, któremu ojca zabiłam. Przeraziłam się. Nie, nie! nie mogę, nie mogę zabijać! Udałam się znowu do mojego męża. Upadłam mu do nóg i błagałam, aby mi zostawił swobodę, aby się zgodził na rozwód. Wyznałam mu szczerze, że go nie kocham, że go nienawidzę, że żyć z nim nie mogę, łzami zlewałam jego stopy, a on w takiej chwili jak zwierz rzucił się na mnie z lubieżnością tak wstrętną i wyuzdaną, że rzuciłam mu w oczy ślinę pogardy.

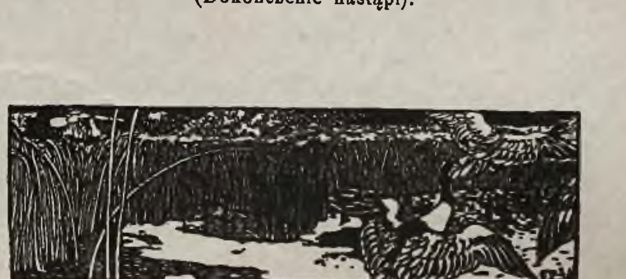
— Żmija — krzyknął do mnie, musisz uledz, a jeżeli będziesz się jeszcze chwilę opierała — odbiorę dziecko i nigdy go nie zobaczysz. Odbiorę dziecko! oddam do domu podrzutków, do zakładu sierót — jak znajdę, jak bękarta!

— Panowie — czy zrozumieliście te słowa? czy zdołacie pojąć jakiem echem odbiły się one w mojem sercu? w sercu matki!

Wyrwałam się z objęć lubieżnika, pędziłam do domu jak szalona, sama wezwałam Alfonsa:

— „Zabij!“

(Dokończenie nastąpi).



LUDWIK STASIAK

Prawo wyborcze kobiet.

Humoreska.

Zacieklejszego konserwatysty, brzydszego wstecznika, jadowitszego reakcyonisty, jak lord Pembrok na świecie nie było. Jeśli się rozchodzi o nienawiść do motłochu, to filozoficzną i poetycką pogardę Horacego łączył z brutalnością pruskiego junkra, twierdzącego, że jedni ludzie są z gliny, a drudzy z porcelany. Dodajmy do tego żywiołu nienawiść Pembroka do kobiet. Płci pięknej nie znosił, w towarzystwie pań nie bywał, mimo przekroczonej sześćdziesiątki, był ciągle starym kawalerem.

Wszelkiemi siłami zdążał do tego, żeby ukrócić, ograniczyć prawa lubu. Szczególniejszem jego pragnieniem było nie dopuścić nigdy do tego, aby kobietom dać prawo czynnego i biernego wyboru...

* * *

Feministki zwołały sto ośm zgromadzeń. Płomienne mowy wygłaszała srebrnowłosa mis Hovcker. W bitwach o prawo kobiet ona była wodzem. Wywalczyła już wiele, bardzo wiele; dziś na stole kwestya prawa wyborczego kobiet. Walka z mężczyzną na śmierć i życie. Rząd nie reagował na uchwały sto ośmiu zgromadzeń kobiecych, rząd nie reagował, gdy feministki, zająwszy galeryę parlamentu, konserwatywnych posłów i ławę ministeryalną zgniłemi jajami zarzuciły. Ale rząd reagował, gdy padła dynamitowa bomba...

— Ooo!

Są uszy, do których jeno dynamit przemówić umie, są ludzie, których przekonywa jedynie głos pękającej bomby...

. . . .

Po straszliwym zamachu korona powołała do siebie lorda Pembroka.

— Jesteś pan zdolen stworzyć program, któryby ludzi uspokoił?

— Tak jest.

— Treść programu?

Zaśmiał się podle lord Pembrok. Mówi chytrze:

— Zupełne równouprawnienie kobiet.

— Pan?! I to pan?!

— Ja. Dam kobietom pełne prawo wyborcze...

. . . .

Wniosek prezydenta ministrów, lorda Pembroka spadł na konserwatystów, jakby grom. To rzecz niesłychana, to rzecz niespodziewana. Postępowe żywioły parlamentu wrzą radosną wieścią, z parlamentu wieść dostała się na świat, dzienniki zasypały miasto nadzwyczajnymi dodatkami, Londyn zalepiony redakcyjnymi afiszami. Londyn wre entuzyazmem. Z ust do ust leci uchwalony przez parlament wniosek lorda Pembroka.

„Każdy pełnoletni obywatel państwa, bez względu na płeć, ma prawo wolnego, bezpośredniego, tajnego i równego, tak biernego, jak i czynnego wyboru. Oznaczenie wieku pełnoletności jest prerogatywą rządu“.

Pod auspicyami powszechnej radości zaczęły się wybory...

* * *

Kipi Londyn. Meetingi, zgromadzenia, konwentykle. W okropnym tumulcie ludzkim przeważają barwne stroje pań. To mało powiedzieć, że przeważają. Kobiety dorwały się do swych praw, używają ich w całej pełni: z lokalów agitacyjnych płeć brzydką wyparły. Miss Hoocker jeździ od jednego przedmieścia do drugiego i wygłasza płomienne mowy.

Jutro wybory, jutro walka. Do późnego wieczora miasto było na nogach, przed wschodem słońca koło lokalów wyborczych gromadzą się ogromne tłumy kobiet. Wnet urny otworzą, głosowanie się zacznie...

Pachołkowie municypium rozlepiają afisze. Afisze urzędowe, ozdobione herbem państwa. — Gromadzą się ludzie koło pachołków i koło afiszów.

— Czytajcie.

— To rzecz niesłychana!

— To bezprawie.

— Przepraszam. To prawo, a nie bezprawie. Rząd przecie zastrzegł sobie prerogratywę.

Tumult powstał, z lokalów wyborczych przybiegły kobiety. Czytają afisz podpisany nazwiskiem króla, lorda Pembroka i wszystkich ministrów. Afisz brzmi:

Człowiekiem pełnoletnim jest ten, kto ukończył trzydziesty rok życia“.

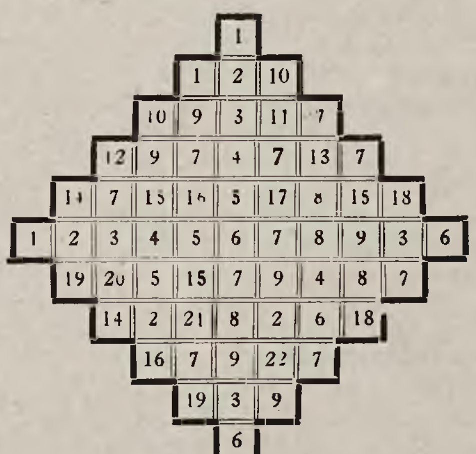
Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody

Arytmogryf.

Ułożył H. Kowalski z Mogiły.

W miejsce liczb wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe w pionowym i poziomym kierunku czytane utworzyły nazwę miasta w Ameryce.

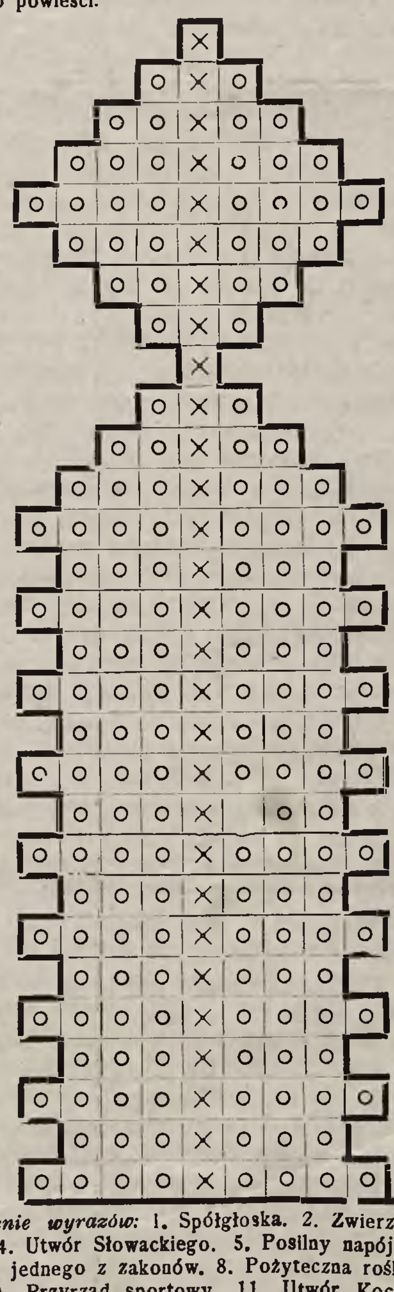


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Drzewo. 3. Wyspa w południowej Europie. 4. Nazwa miasta w Hiszpanii. 5. Zasłużony pisarz dla dzieci. 6. Znaczenie zagadki. 7. Maszyna gospodarska. 8. Imię męskie. 9. Instrument muzyczny. 10. Nazwa urzędnika we Francyi. 11. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył Alfred Rotter w Stanisławowie.

Litery w miejsce krzyżyków wstawione, a czytane z góry na dół, dadzą imie i nazwisko autora polskiego, oraz tytuł jednej z jego powieści.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę drapieżne. 3. Medal. 4. Utwór Słowackiego. 5. Posilny napój. 6. Roślina. 7. Członek jednego z zakonów. 8. Pożyteczna roślina. 9. Spółgłoska. 10. Przyrząd sportowy. 11. Utwór Kochanowskiego. 12. Jedna z postaci »Wesela« Wyspiańskiego. 13. Wyspy na Oceanie Indyjskim. 14. Ciepły wiatr. 15. Imię męskie. 16. Część ubrania. 17. Prowincya angielska w południowej Afryce. 18. Przyrząd zabezpieczający konie od psucia nóg. 19. Imię męskie. 20. Instytut naukowy w Paryżu. 21. Miasto na Kujawach. 22. Rodzaj głosu 23. Imię żeńskie. 24. Kraina w Indochinach. 25. Niegdyś wielkie miasto w Afryce. 26. Imię męskie. 27. Głowa duchowna wyznawców Budaizmu. 28. Roślina z rodziny liliowatych. 29. Kraj w Azyi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznacza Redakcya pół klg. herbatników z cukierni Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 18.

Szarada.

Fa-so-la.

Łamigłówka.

Cecora, Zajazd, Edessa, Marmur, Chocim, Hekate, adwent, Tarcza, Agapit, Bakota, Ostróg.

Czem chata bogata tem rada.

Logogryf.

A, Ajudach, Konrad Wallenrod, otomana, lampa, Siemiogród, c, k, kij, Debreczyn, Kowno, Krasiński, melancholia, Cezar.

Adam Mickiewicz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: Tow. »Zgoda« Krosno, B. Ramułtowa Jeżów, F. Niepokój Krosno, S. Spunda Skała, K. Fuchs Czeremchów, B. Bocsoń Bóbrka, L. Wygrzywalski Kraków, M. Świtlikowa Rzeszów, Dr. S. Warmski Turka, H. Kowalski Mogiła, M. Opolska Czarny Dunajec, J. Haładej Górki, J. Stefanowicz Tarnopol.

Nagrodę przez losowanie otrzymał J. Stefanowicz Tarnopol, prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Od Redakcyi.

P. J. R. w Chlebowicach: Rozwiązanie nadeszło zapóźno.

Kącik humorystyczny.

Nasze sługi.

Pani. Chciałabym zobaczyć twoją książeczkę.

Sługa. Nie.

Pani. Czemu?

Sługa. Ja nie chcę kompromitować tych państwa, co to co 14 dni zmieniają sługi.

W restauracyi.

Kelner (natrętny — do pani). Czy mogę pani jeszcze czem służyć?

Pani. Tak jest, pańską nieobecnością.

Pies.

Pewien myśliwy, znany blagier, miał psa, którego sprzedał.

W towarzystwie zagadnął go jeden ze znajomych:

— Słyszałem, żeś pan sprzedał swego psa, któregoś pan tak lubił?

— Tak jest, wie pan, sprzedałem go, bo w ostatnim czasie był całkiem nie do użycia. Zawsze, ile razy opowiadałem o polowaniu, trząsł bestya głową!

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).